Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

● WYZWANIA DLA POLSKI: PISZE A. PAWLUCZUK; MÓWI Z. BRZEZIŃSKI
● EKSMISJA W PARCZEWIE ● HANDELEK W WIEDNIU ● SOŁŻENICYN
● WYWIAD Z B. LINDĄ ● KUNCEWICZOWA ● ARTYŚCI W KAZIMIERZU

PL ISSN 0860-3820

TYGODNIK WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 8 - 14 VI 1989 R. NR 21 CENA 70 ZŁ

WSPINAĆ SIĘ, CHOCIAŻBY POMALUTKU

WYZWANIE DLA POLSKI

Andrzej W. Pawluczuk

JUŻ tylko niecałe cztery lata dzielą nas od momentu, kiedy znajdziemy się na marginesie Europy. Na obszarze Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (zwanej Wspólnym Rynkiem), obejmującej dwanaście państw liczących 350 milionów mieszkańców, powstanie bowiem jednolity rynek. Będzie to prawdziwa Europa bez granic, ponieważ projektuje się, że ulegną likwidacji wszelkie bariery w wolnym przepływie towarów, usług, kapitałów i ludzi.

W praktyce życie gospodarcze tego wielkiego obszaru będzie się odbywało tak, jakby dotyczyło jednego państwa. Ludzie będą podróżowali po Wspólnocie bez żadnych paszportów i wiz. Każdy będzie mógł osiedlić się w dowolnym kraju, nie pytając nikogo o zgodę. To samo dotyczyć ma podejmowania pracy czy zakładania firm. Tych dwanaście krajów to: Francja, Wielka Brytania, RFN, Włochy, Grecja, Hiszpania, Belgia, Holandia, Dania, Luksemburg, Portugalia i Irlandia. Wystarczy spojrzeć na mapę, by uzmysłowić sobie, że jest to obszar zwarty geograficznie i kulturowo, o podobnej tradycji historycznej i podobnym etosie pracy.

Ale nie będzie to jedyny kolos gospodarczy, który wyłoni się wkrótce na świecie. Panuje powszechny pogląd, że obok zintegrowanej Europy Zachodniej powstaną jeszcze dwa centra techniczne i gospodarcze. Będą to Stany Zjednoczone wraz z Kanadą, z którymi silne powiązania ekonomiczne i polityczne posiadać będzie zapewne Meksyk i niektóre, bardziej rozwinięte, kraje Ameryki Łacińskiej, jak Argentyna czy Urugwaj. Zaś trzecie centrum myśli technicznej, pieniądza i dobrobytu stanowić będzie Japonia wraz z nowymi potęgami ekonomicznymi tego regionu, zwanymi „małymi tygrysami": Koreą Południową, Tajwanem, Singapurem i — być może — Malezją i Filipinami.

Nie bez powodów wyliczam skrupulatnie te wszystkie kraje. Przecież jeszcze dwadzieścia lat temu w Portugalii, Grecji, a tym bardziej w Korei Południowej czy na Tajwanie ludzie mieli wszystkie powody, aby nam — w Polsce — zazdrościć stopy życiowej i spokoju socjalnego. A dzisiaj? Hm, jak jest — widzi każdy i trzeba sobie zdawać sprawę, że może być jeszcze gorzej, ponieważ poważni znawcy gospodarki nie sądzą, aby w dającej się przewidzieć przyszłości kraje socjalistyczne mogły utworzyć czwarte centrum gospodarcze, o porównywalnej sile technologicznej, prężności innowacyjnej i podobnej skali powszechnego dobrobytu. Jest to wyjątkowo groźne dla naszego kraju, który będzie już nie tylko chorym człowiekiem Europy. Grozi mu bowiem przypadłość o wiele boleśniejsza i upokarzająca: rola europejskiego pariasa, który potrafi zdobyć się jedynie na dostarczanie innym tanich surowców i taniej, bo nadającej się tylko do „brudnych" prac, siły roboczej.

WPRAWDZIE trudno autorytatywnie rozstrzygać, jak wyglądać, będzie świat za lat dziesięć czy piętnaście, to jednak specjaliści nie mają wątpliwości co do tego, że będzie to świat zasadniczo różny od dzisiejszego. Np. wybitny autorytet ekonomiczny Jerzy Kleer pisze, że „w latach 90-tych zapoczątkowane zostaną na wielką skalę nowe procesy różnicowania świata. Stare podziały ukształtowane w latach 50-tych i 60-tych przejdą do historii, a skutki dla gospodarki światowej trudne są do przewidzenia. Podział na rozwinięte kraje kapitalistyczne, kraje socjalistyczne i trzeci świat stanie się bardziej przedmiotem badań historycznych niż międzynarodowych stosunków gospodarczych".

Zakłada się na razie, że zapoczątkowane przed paru laty procesy ulegną zwielokrotnieniu: boom technologiczny i naukowy w najbardziej rozwiniętych krajach ulegnie przyspieszeniu, a dystans materialny i cywilizacyjny pomiędzy nimi i resztą świata ulegnie znacznemu zwiększeniu. Niektórzy powiadają nawet o przepaści cywilizacyjnej, co miałoby polegać na tym, że

Dokończenie na str. 8

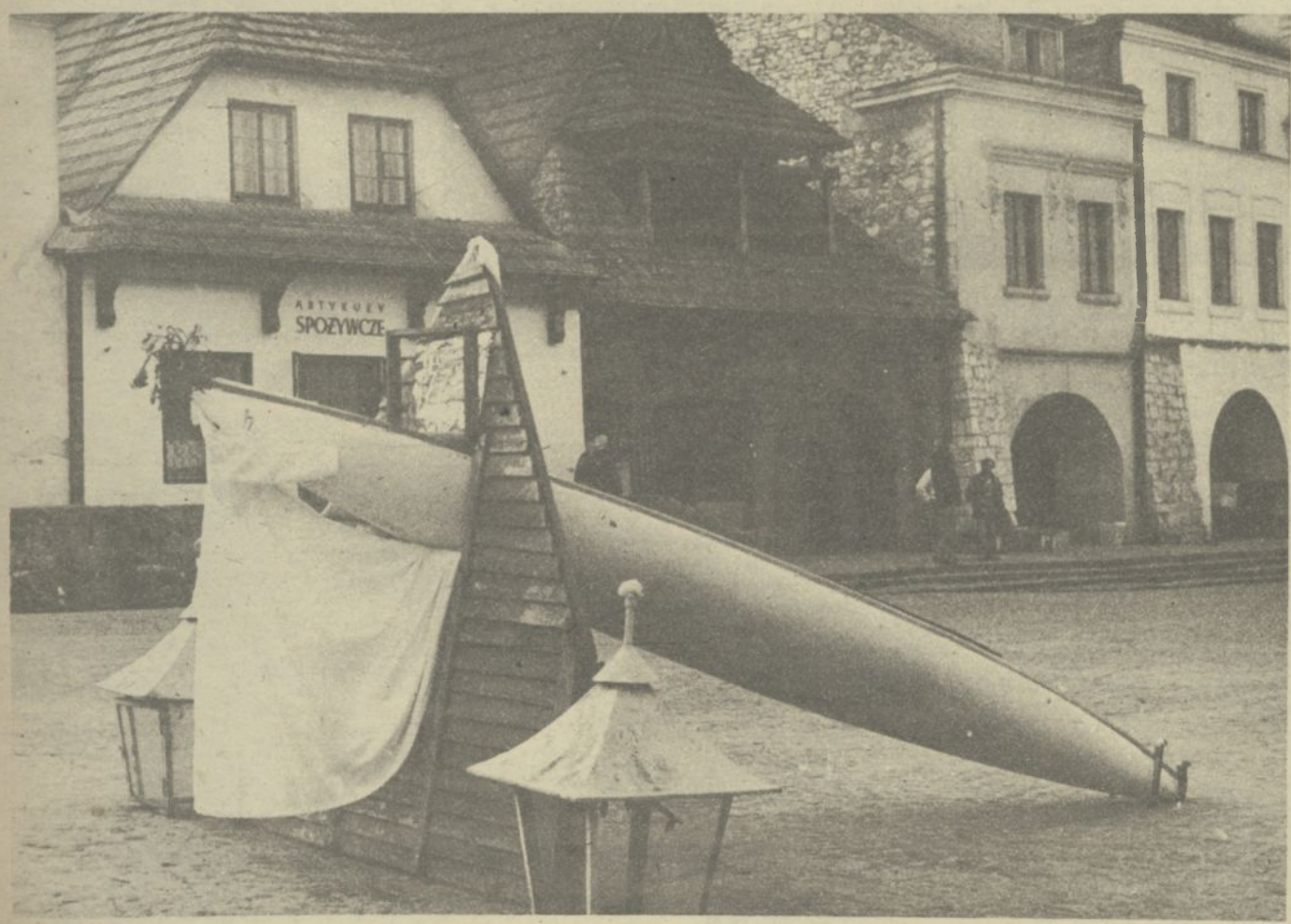

CUDOWNE DZIWACTWA POD ŚWIĘTYM KRZYSZTOFEM

STR. 8 - 9

Fot. Violetta Krasnowska

relacje ZE ŚWIATA

◆ W PEKINIE, w czwartym tygodniu spokojnych dotąd studenckich strajków i demonstracji, doszło do wydarzeń, które zaszokowały świat. W niedzielę (4 bm.) nad ranem (czasu lokalnego) oddziały chińskiej armii, działając w ramach stanu wyjątkowego, opanowały plac Tiananmen, okupowany przez kilkunastotysięczną grupę studentów i intelektualistów, domagających się demokratyzacji i swobód. Według jednej wersji wydarzeń, wojsko, sprowokowane wyzywającym zachowaniem demonstrantów, otworzyło ogień; według innych obserwatorów, rozkaz do strzelania wydany został wcześniej. Podczas opanowywania placu wywiązała się — trwająca kilka godzin — bitwa między żołnierzami a studentami i ich sympatykami. Przeciwko tym ostatnim (określanym przez przywódców ChRL mianem „sił kontrrewolucyjnych") użyto oddziałów piechoty i czołgów. Walki rozszerzyły się i na inne dzielnice Pekinu.

Według oficjalnych komunikatów, poległo około tysiąca żołnierzy i milicjantów, liczba śmiertelnych ofiar wśród ludność cywilnej nie została podana. W szpitalach brakuje miejsc dla rannych.

Przed ambasadami ChRL w kilku państwach odbyły się demonstracje.

◆ ZMARŁ (w wieku 89 lat) przywódca duchowo-polityczny Iranu — ajatollah Chomeini. W Iranie ogłoszona została 40-dniowa żałoba narodowa; funkcjonują jedynie niektóre służby publiczne, w tym szpitale, świadczące usługi tylko w nagłych wypadkach.

◆ JUŻ DRUGI TYDZIEŃ trwa (rozpoczęty 29 maja) Zjazd Deputowanych Ludowych ZSRR. Kilkuset mówców, nierzadko w niezwykle kategorycznych wystąpieniach, dokonało oceny obecnego etapu pieriestrojki; żądają poprawy sytuacji w kraju — politycznej i gospodarczej, postulowane są zmiany w składzie Rady Ministrów i formułowane są żądania skuteczniejszego „patrzenia na ręce" władz centralnych i republikańskich.

◆ JAN PAWEŁ II, przybywając do Oslo, rozpoczął pierwszą w historii chrześcijaństwa podróż papieską po Skandynawii. Po Norwegii odwiedzi Islandię, Finlandię, Danię i Szwecję. Już od początku wiadomo było, że nie będzie to łatwa pielgrzymka: katolicy stanowią w Skandynawii zaledwie 1 proc. ludności, a kościół katolicki nie cieszy się uznaniem m.in. ze względu na stanowisko Watykanu wobec obyczajowości seksualnej.

◆ PREZYDENT G. BUSH w czasie peregrynacji po Europie wygłosił — przyjęte za ważne — przemówienie w Moguncji. Zawarł w nim następujący program dla Europy: więcej politycznej wolności na Wschodzie; Berlin bez muru; czyste środowisko; mniejsze arsenały. Zwraca się uwagę, że w opcji administracji amerykańskiej Europa jawi się jako kontynent zmierzający do integracji.

I wniosek płynący dla naszego kraju: pomoc dla Polski — powiedział Bush — odbywać się może, lecz tylko w ramach Banku Światowego.. Nadzieje i apetyty Polaków były większe.

◆ Z DOKUMENTU „Geneza i początek II wojny światowej", opracowanego i opublikowanego przez komisję partyjnych historyków PRL i ZSRR:

— radziecko-niemiecki układ o przyjaźni i granicach z 28 września 1939 r. był „poważnym naruszeniem międzynarodowych norm prawnych";

— sprzeczna z tymi normami była nota rządu radzieckiego z 17 września, w której stwierdzono, że państwo polskie faktycznie przestało istnieć;

— komunikat podkreśla też „sprawiedliwy charakter wojny Polski z Niemcami, toczonej od 1 września 1939 r."

◆ PO 30 LATACH Erzseber Nagy — córce Imre Nagya, byłego premiera Węgier, osądzonego i straconego na podstawie sfabrykowanego oskarżenia — zwrócono w Prokuraturze Generalnej WRL osobiste rzeczy ojca.

Pogrzeb I. Nagya, pochowanego przed 31 laty potajemnie, którego prochy ostatnio ekshumowano, odbędzie się 16 czerwca.

◆ DZIAŁAJĄCA W FILADELFII (USA) organizacja „My, naród" przyznała Lechowi Wałęsie pierwszy ustanowiony tam „Filadelfijski medal wolności" i związaną z nim nagrodę pieniężną w wysokości 100 tys. dolarów.

◆ CMENTARZ ŁYCZAKOWSKI ginie na naszych oczach. Rozkradane są bezcenne nagrobki i pomniki, a zgodnie z nową modą — pisze W. Panow w „Uczitielskiej Gazietie" — ambicją wielu lwowskich prominentów jest grzebanie najbliższych na tym właśnie cmentarzu. Nierzadko odbywa się to na miejscu istniejących mogił o dużej wartości kulturalnej i historycznej.

Podczas niedawno odbytego posiedzenia polsko-ukraińskiej komisji mieszanej ds. ratowania Cmentarza Łyczakowskiego podjęto decyzję o wstrzymaniu pochówków na tym cmentarzu oraz podjęciu — jeszcze w tym miesiącu — prac konserwatorskich. Wywiad z polskim współprzewodniczącym komisji, prof. Alfredem Jahnem, zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Relacji".

relacje Z KRAJU

◆ W CHWILI, gdy słowa te kierujemy do druku wiadomo, że w niedzielnych (4 bm.) wyborach wzięło udział ok. 62 proc. spośród 27 milionów osób uprawnionych do głosowania. Natomiast nie znane są jeszcze nazwiska tych spośród 2300 kandydatów, którym przypadną miejsca w Sejmie (460) i Senacie (100).

Wszystko na to wskazuje, że dojdzie do — nie pozbawionej emocji — wyborczej „dogrywki", która zadecyduje o ostatecznym układzie sił w Zgromadzeniu Narodowym. Druga tura głosowania odbędzie się 18 czerwca.

◆ DLA NORMALNEGO FUNKCJONOWANIA gospodarki potrzebujemy obecnie ok. 24 mln ton ropy, importujemy zaś niespełna 17 mln t. Minister Wilczek zwrócił się z ofertą do wielu firm zagranicznych, proponując zainwestowanie w rozwój polskiego przemysłu chemicznego i petrochemicznego. Liczba pozytywnych odpowiedzi przeszła najśmielsze oczekiwania. Nadeszły one ze Stanów Zjednoczonych, RFN, a nawet Kuwejtu. Kredyty spłacalibyśmy naszymi produktami. W najlepszych nawet okolicznościach na „cepeenowski" cud czekać trzeba 2—3 lata.

◆ PRZYGOTOWANY PROJEKT USTAWY O ZATRUDNIENIU wprowadza pojęcie — bezrobotnego. Jest to osoba niepracująca, lecz zdolna do pracy i gotowa do zawarcia umowy o pracę, zarejestrowana w organie zatrudnienia. Zasiłek dla bezrobotnego wynosić ma 70 proc. ostatniego wynagrodzenia, ale tylko przez okres trzymiesięcznego pozostawania bez pracy.

◆ „STOCZNIA GDAŃSKA, na skutek podjęcia politycznej decyzji o jej likwidacji, znajduje się w coraz trudniejszej sytuacji finansowej. Bank odmówił jej kredytowania. Ponieważ jednak tu zrodziła się »Solidarność« dla wielu Polaków stocznia znaczy wiele, aby nadal ona istniała i normalnie funkcjonowała" — powiedział rzecznik prasowy Lecha Wałęsy, Piotr Nowina-Konopka.

Dodajmy, iż multimilionerka polskiego pochodzenia, Barbara Piasecka-Johnson, podpisała porozumienie, które zaowocować ma utworzeniem w Stoczni Gdańskiej spółki z o.o. Kapitał p. Barbary przeznaczony na ten cel wynosi 100 mln dolarów.

W tej samej stoczni istnieje już polsko-brytyjska spółka, która wydzierżawiła jeden z wydziałów i zatrudniła 1 tysiąc robotników, czyli 10 proc. obecnej załogi.

◆ URZĄD KONTROLI PRASY wydał zgodę na reaktywowanie tygodnika „Po Prostu". Ostatni numer tego pisma, będącego synonimem październikowej odwilży, ukazał się 32 lata temu.

◆ NA BADANIA NAUKOWE zabraknie w tym roku 12 miliardów złotych — niepokoi się Zgromadzenie Ogólne PAN.

◆ ŚREDNIE WYNAGRODZENIE w kwietniu wyniosło 107 tys. zł, było tym samym o 120 procent wyższe niż przed rokiem. Wzrostu cen jeszcze nie policzono.

◆ JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI został prezesem niedawno zarejestrowanego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

◆ POWOŁANA ZOSTAŁA SPOŁECZNA RADA MILICJI OBYWATELSKIEJ — organu opiniodawczo-doradczego przy Komendancie Głównym MO. Skład personalny rady, która ma m.in. opiniować charakter działalności milicji, nie został podany do publicznej wiadomości.

relacje Z REGIONU

◆ „ŚCIANA WSCHODNIA", czyli grupa województw o zaniedbanej od lat infrastrukturze, a przy tym lichych glebach (znajdujących się także w naszym regionie), doczekała się zainteresowania władz centralnych. Na Podlasiu dokonali rekonesansu członkowie rządu, natomiast w Zamościu odbyło się posiedzenie Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów.

Oto niektóre z postanowień: od 1 stycznia 1990 r. rolnicy gospodarujący na glebach V i VI klasy zwolnieni zostaną od podatku w całości lub w części; przyznane będą subwencje na rozwój gospodarstw i rejonów zaniedbanych a rokujących nadzieję oraz budowę zakładów przemysłu rolno-spożywczego; podjęta zostanie modernizacja Kanału Wieprz-Krzna; w rejonie Małaszewicz utworzony zostanie wolny obszar celny.

◆ PODOBNIE JAK W CAŁYM KRAJU także w lubelskim Sądzie Rejonowym toczy się (w sumie kilkaset) spraw przeciwko „Polmozbytowi". Na tej tylko bowiem drodze — jak zarządził minister finansów (poprzedni!) — obywatel odzyskać może pieniądze nadpłacone za samochód w ramach myta, zwanego funduszem motoryzacji.

Klienci wygrywają, „Polmozbyt" płaci, kolejka w sądzie (zamiast co najwyżej w „polmozbytowskiej" kasie) na kilka miesięcy.

◆ PRACOWNICY MLECZARNI w Łaszczowie (woj. zamojskie) zaprotestowali przeciwko sposobowi podzielenia 60 mln zł zysku, pochodzącego z produkcji eksportowej. 15 mln z tej kwoty otrzymać miały trzy osoby ze ścisłego kierownictwa. Protestująca przeciwko temu Irena Kazimierczuk — jak pisze „Tygodnik Zamojski" — została przez prezesa pozbawiona stanowiska brygadzistki w dziale kazeiny. A to właśnie za kazeinę wpłynęły dewizy. Prezes obiecał, że nie spocznie, dopóki noga p. Ireny postanie w tym zakładzie.

◆ LUBELSKIE TOWARZYSTWO ARTYSTYCZNE „PANTEON" animowane jest przez ludzi dużej wiary. Władzom miejskim przedłożyli program wykorzystania Teatru Starego przy ul. Trybunalskiej. Po rewaloryzacji tego zabytkowego, a beztrosko zniszczonego obiektu chcieliby ulokować tam — działający na zasadzie impresariatu — Teatr Studyjny. Ten ostatni w czasie kilku minionych sezonów zaprezentował lubelskiej publiczności wiele głośnych krajowych i zagranicznych przedstawień. Niestety, dziś pozbawiony jest sceny. Ojcowie miasta pobłogosławili pomysł. Może nadejdzie i czas czynu?

◆ LUBELSCY PLASTYCY, byli członkowie Związku Polskich Artystów Plastyków (rozwiązanego w czasie stanu wojennego), w przeświadczeniu, że dojdzie do rejestracji ZPAP, odbyli zebranie organizacyjne. Przybyło ponad 80 osób. Wyłoniono trzy komisje, które zająć się mają najżywotniejszymi sprawami środowiska.

Oprac. **Zbigniew Miazga**

STOWARZYSZENIE ŻOŁNIERZY AK

26 MAJA w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie zarejestrowano Stowarzyszenie Żołnierzy Armii Krajowej. Usankcjonowało to działalność powstałych już wcześniej Oddziałów Okręgowych i kół Stowarzyszenia, w tej liczbie i lubelskiego Oddziału Okręgowego. Utworzono go w Lublinie 20 maja br., powołując Tymczasowy Zarząd w 13-osobowym składzie z prof. dr. Jerzym Kłoczowskim, ppor. AK ps. „Piotruś", jako prezesem.

W skład Prezydium Tymczasowego Zarządu Oddziału Okręgowego weszli ponadto: phm. dr Leopold Brzyski ps. „Osa", st. sierż. Wacław Filiks ps. „Choina", plut. pchor. Jan Gieysztor ps. „Szachowski", por. Czesław Gregorowicz ps. „Jaromir", ppor. Zofia Kietlińska ps. „Bogusia", kpr. pchor. Czesław Linkowski ps. „Tom", ppor. Maria Majewska ps. „Pola", ppor. Jan Onoszka ps. „Jacyna", ppor. Marian Radzikowski ps. „Borowik", kpr. Eugeniusz Rusinek ps. „Kalina", ppor. Bolesław Sobieszczański ps. „Pingwin", kpt. Marian Warda ps. „Polakowski", por. Mieczysław Żurawski ps. „Włóczęga". Tymczasową siedzibą oddziału jest budynek katechetyczny przy kościele Matki Boskiej Królowej Polski w Lublinie przy ulicy Gospodarczej.

Stowarzyszenie Żołnierzy AK stawia sobie za główne cele obronę godności, dobrego imienia i pamięci Armii Krajowej, jej żołnierzy i oddziałów, kultywowanie braterstwa broni, dokumentowanie i zabezpieczanie materiałów historycznych traktujących o czynie zbrojnym AK. Stowarzyszenie będzie też dążyć do upamiętniania miejsc walki i męczeństwa akowców, organizować uroczystości i obchody rocznic wydarzeń związanych z walką Armii Krajowej. Akces członkowski do Stowarzyszenia mogą złożyć członkowie Służby Zwycięstwu Polski, Związku Walki Zbrojnej oraz innych organizacji podziemnych taktycznie związanych lub podporządkowanych AK.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że lubelski Okręg Armii Krajowej otrzymał niedawno sztandar. Uroczystości jego poświęcenia odbyły się w kościele Matki Boskiej Królowej Polski w Lublinie. Rodzicami chrzestnymi sztandaru byli: p. Wanda Tumidajska, córka gen. Tumidajskiego-„Marcina", i kpt. Roman Jezior ps. „Okoń", ostatni inspektor Inspektoratu Lubelskiego AK. Przybył na tę uroczystość płk Wojciech Borzobohaty, szef Sztabu Okręgu Kielecko-Radomskiego AK, senior środowiska akowskich kombatantów. Raport w imieniu lubelskich żołnierzy AK składał mu porucznik Czesław Gregorowicz. Obecnych było 11 pocztów sztandarowych AK.

(wil)

NAZBIERAŁO się ostatnio nieco konfekcji politycznej, o której trzeba by napisać. Trzeba by, ale nie wiadomo, czy będzie można wydrukować, ponieważ daje się zauważyć nawrót do myślenia magicznego: jak my wam coś skreślić, to ono nie istnieć. Na przykład bywa „kreślona" nazwa pewnej niezalegalizowanej organizacji, której trzyliterowy skrót zawiera: P, K, N.

Tego rodzaju myśleniu magicznemu przyznaję wartość mniej więcej dwu euglen zielonych (stosowana przeze mnie jednostka miary myślenia — euglena zielona — to taki jednokomórkowiec z grupy wiciowców, forma przejściowa między światem roślinnym a zwierzęcym, spotykany przeważnie w kałużach).

☆

Okazało się, że — żadna to nowina — część polskiej młodzieży niezbyt przesadnie kocha naszego wschodniego Sąsiada. Oczywiście urządzanie awantur pod konsulatem (dwie euglena

„AS PROFESSOR BRZEZIŃSKI SAID..."

Wiesław Horabik, Leszek Wiśniewski

NIEDZIELA, 28 maja 1989, Lublin. Oblężona sala im. Stefana Wyszyńskiego na KUL-u owacyjnie wita profesora Zbigniewa Brzezińskiego, amerykańskiego politologa, doradcę prezydenta Jimmy Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego. Przedmiotem wykładu jest wizja Europy na tle przemian współczesnego świata, ze szczególnymi wskazaniami dla Polski i Polaków. Wstępne zastrzeżenia Brzezińskiego, co do ewentualnych ułomności w posługiwaniu się językiem polskim, okazują się bezzasadne i nieco kokieteryjne.

W atmosferze żywego kontaktu mówcy z widownią rozwija się myśl klarowna, logiczna, oryginalna. W obliczu przesuwania się głównego punktu ciężkości światowej polityki w obszar Pacyfiku, rodzi się dla Europy nowa szansa. Szansę tę wzmacnia jeszcze pieriestrojka i głasnost' w ZSRR, a także jakościowo inna sytuacja równowagi militarnej supermocarstw.

Dojście do władzy Gorbaczowa uruchomiło procesy demokratyzacji w państwach bloku wschodniego. Totalitaryzm zaczął być wypierany przez pluralistyczne myślenie o polityce. Najdalej poszły w tych procesach Polska i Węgry. W samym Związku Radzieckim głasnost' wyprzedziła jednak pieriestrojkę. Przy daleko już posuniętej wolności słowa, reformy ekonomiczne w ZSRR nie mogą wyjść ze stadium projektów, a w niektórych dziedzinach odnotowano nawet regres. Imperatyw reform gospodarczych na wielką skalę będzie jednak nadal napędzał procesy pieriestrojki, gdyż to właśnie on legł u jej podstaw. Nastąpi z pewnością pogłębienie demokracji u sojuszników Moskwy.

Stany Zjednoczone z kolei zmuszone zostały w ostatnich latach do reorientacji swej polityki w kierunku krajów Dalekiego Wschodu i Ameryki Ładińskiej. Ostatnia dekada przyniosła niezwykły boom „tygrysom Pacyfiku" (Korea Płd., Tajwan, Hongkong) oraz dalsze umacnianie się japońskiego imperium ekonomicznego. I tak na przykład łączny produkt społeczny Japonii, Korei Płd. i Tajwanu dorównuje już dziś produktowi Stanów Zjednoczonych. Eksport przemysłu maszynowego Singapuru jest większy niż cały eksport europejskich krajów socjalistycznych (bez ZSRR). Z kolei meksykańska „bomba demograficzna" zagraża USA już bezpośrednio. Ta sytuacja powoduje konieczność lokowania w wymienionych obszarach amerykańskich interesów politycznych i ekonomicznych. Tak więc oba supermocarstwa zmuszone zostały w nieczekiwany sposób do odwrócenia swej uwagi od tradycyjnej strefy wpływów — Europy.

Zachodnia Europa posunęła swoje procesy integracyjne bardzo daleko. Praktycznie po 1990 roku utworzy ona jeden, niezależny i potężny organizm ekonomiczno-polityczny. Organizm dysponujący największym na świecie rynkiem wewnętrznym. Proces ten pozostawił na peryferiach kontynentu całą Europę Wschodnią z jej zacofaną gospodarką. Czy ta przepaść jest możliwa do przebycia?... Tutaj profesor jest umiarkowanym optymistą.

Szansą są właśnie procesy demokratyczne i próby reformowania ekonomik w krajach bloku wschodniego. Już dziś Węgry usiłują wejść do europejskiej wspólnoty narodów „austriackimi drzwiami". Również polityka kredytowa Zachodu w stosunku do Polski zaczyna najwyraźniej przeciągać nasz kraj w tę strefę wpływów.

Istotną kwestią pozostaje problem niemiecki. Zdaniem profesora, postępować będą tendencje integracyjne między obu państwami niemieckimi, a także między Niemcami a Europą Zachodnią. Nie leży w interesie Polski przeciwdziałanie tym tendencjom. Groźbą dla Polski byłoby bowiem ponowne skierowanie uwagi niemieckiej na wschód, porozumienie się Niemiec i Rosji w formie nowego Rapallo, co — zdaniem Brzezińskiego — w nowym układzie politycznym Europy — mogłoby stanowić wcale realną perspektywę. Z tego również powodu nie leży w naszym interesie udzielanie jakiegokolwiek, poza moralnym, poparcia aspiracjom narodowościowym w ZSRR. „Nie irytować wschodniego sąsiada, szukać szans u siebie i na południu" — ogłosił profesor Brzeziński.

Zaproponował Polakom dążenie ku konfederacji z Czechosłowacją, lecz w żadnym wypadku nie wymierzonej przeciw ZSRR. Żaden nowy kordon sanitarny! Te propozycje wzbudziły sporo sprzeciwu u słuchaczy. „Nie chcemy łączyć się z Czechosłowacją — ripostował jeden z młodych uczestników spotkania. — Chcemy otworzyć się na Zachód". Profesor replikował: „Polska nie leży na Zachodzie, tylko tutaj". Wskazywał na wspólnotę językową, etniczną, historyczną Polaków i Czechów, podobieństwo struktur państwowo-ekonomicznych, choć przyznał, że zmiany polityczne w Czechosłowacji są, jak na razie, niewielkie. Przywiązanie do takiej koncepcji staje się dość zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że żoną profesora Brzezińskiego jest córka prezydenta Benesza...

W dalszej perspektywie politycznej przewiduje Brzeziński długotrwałe uwikłanie się ZSRR w trudne zagadnienia wewnętrzne, przede wszystkim narodowościowe i ekonomiczne; z drugiej zaś strony — stopniowe wycofywanie się USA z europejskiej sceny politycznej. I to jest właśnie ta szansa na europejski „wspólny dom" z odpowiednim miejscem dla Polski jako suwerennego, demokratycznego państwa.

CO TO podstawowe tezy wykładu. Gospodarz spotkania, profesor Joachim Kondziela, zasugerował, dziękując za wystąpienie w Lublinie, że wykład Brzezińskiego stanie się równie sławny jak głośny swego czasu żart rysunkowy. Przedstawiał on dwóch raczących się alkoholem dżentelmenów, z których jeden podpiera swą argumentację upartym: „As professor Brzeziński said..." („Jako rzecze prof. Brzeziński").

Fot. Waldemar Stępień

W trakcie otwartej dyskusji nie było kłopotliwych pytań, a jedynie ambarasujące odpowiedzi, przy czym niektóre z nich podziałały na słuchaczy jak kubełek lodowatej wody.

Sprawa pułkownika Kuklińskiego. „Na ten temat wiem akurat dużo ale jeszcze mniej chciałbym mówić. Powiem więc krótko. Uzyskane od niego informacje pozwoliły nam przeciwdziałać radzieckiej interwencji już w grudniu 1980. Przekazanie informacji o zamiarze wprowadzenia stanu wojennego — »Solidarności« mogłoby spowodować rozlew krwi na wielką skalę, a tego chcieliśmy uniknąć".

Odpowiedzialność Ameryki za wyprzedaż interesu Polski w Jałcie. „Lojalność w polityce jest rzeczą względną. Polacy zdradzili przecież swoich białoruskich i ukraińskich sojuszników z wojny 1920, podpisując traktat ryski z Rosją Radziecką i pozostawiając armię Petlury własnemu losowi. Taka była wówczas polska racja stanu. Taka była również amerykańska racja stanu w 1944 roku. Nie znaczy to przecież, że przez 45 lat niczego dla polskiej demokracji i suwerenności nie robiliśmy"

Ocena zaufania do Gorbaczowa wobec wydarzeń w Tbilisi. „Nie popieram brutalnych metod w działaniach politycznych. Jednakże tak wielki i trudny proces jak pieriestrojka nie może przebiegać bezkonfliktowo. Nawet tak tragiczne jego »odpryski«, jak wydarzenia w Tbilisi, nie mogą rzutować na generalną ocenę pieriestrojki. Przecież nawet w tejże Gruzji sytuacja jest dziś zupełnie odmienna niż za Breżniewa".

Szanse udzielenia Polsce przez Zachód pomocy finansowej. „Nowych kredytów w stylu lat 70-tych nie będzie. Nawet miliardy dolarów zostałyby w tej chwili zmarnowane. Chodzi o coś zupełnie innego — o długofalowy proces wiązania Polski z zachodnim systemem walutowym i gospodarczym. W chwili obecnej żaden z krajów komunistycznych nie jest przygotowany do nawiązania indywidualnych kontaktów z Zachodem".

Wizja parlamentaryzmu polskiego. „Sejm to nie grupa posłów zjeżdżających się do hotelu sejmowego i perorujących potem na trybunie, lecz samodzielna instytucja, posiadająca ogromny aparat ekspertów i własne zaplecze intelektualne. W Stanach Zjednoczonych każdy kongresmen otrzymuje rocznie 400 tysięcy dolarów, a każdy senator — 600 tysięcy na funkcjonowanie własnych sztabów. Nie proponuję przyznawania takich sum polskim parlamentarzystom, ani tym bardziej przeliczania dolarów po czarnorynkowym kursie. Dzięki temu jednak, że parlamentarzyści są niezależni materialnie, mogą stanowić polityczną przeciwwagę administracji państwowej i opierać się skutecznie naciskom władzy."

ZNACZNIE swobodniej było już podczas cocktailu w salach rektorskich. Luźne rozmowy, kilka autografów, wspomnienia osobistych kontaktów. Nieliczne krótkie wypowiedzi dla prasy.

Pytanie „Relacji" brzmiało:

— Czy aktualne zmiany systemu politycznego w Polsce traktuje pan jako „przystanek do demokracji", „polską drogę do socjalizmu", czy też może „polską drogę do kapitalizmu"?

— Zdecydowanie jako przystanek przed demokracją. Polska wkroczyła na pewną odrębną drogę. Zbliżając się do dwóchsetnej rocznicy Konstytucji Trzeciego Maja, jednej z trzech wielkich światowych konstytucji, byłoby dobrze, gdyby ta droga doprowadziła do pełnego sukcesu. Myślę o parlamencie wybranym w całkowicie wolnych wyborach i przekształceniu się Polski w pełni suwerenne państwo.

Profesor Zbigniew Brzeziński wpisał się do Księgi Pamiątkowej KUL: „Z wyrazami szacunku i głębokim wzruszeniem, życząc wszystkiego najlepszego KUL-owi — Zbigniew Brzeziński".

EUGLENY ZIELONE I DOJLIDY ZŁOTE

Maciej Podgórski

zielone) i obrażanie narodowych czy państwowych symboli sąsiedniego mocarstwa (jedna euglena zielona) jest głupotą przeważnie, a już z pewnością w okresie wyborczym — tak powie każdy dojrzały człowiek, choćby podzielał odczucia tej młodzieży.

Ale oto obok słusznych połajanek dało się słyszeć pytanie: jak byśmy się czuli, gdyby Rosjanie obrzucili kamieniami naszą ambasadę w Moskwie lub doprawili wąsy orłowi białemu (chwilowo jeszcze bez korony)? Źle byśmy się czuli. [— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt. 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204)]. Bo tutaj liczy się głównie siła resentymentów historycznie ukorzenionych [— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2 pkt. 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99; zm.: 1983. Dz. U. nr 44, poz. 204)]. I ona okazuje się dziedziczna.

☆

Dowiedziałem się, że rozliczenia z okresem stalinowskim bywają u nas traktowane jako zakamuflowana negacja socjalizmu w ogóle oraz kwestionowanie dokonań 40-lecia PRL...

Wykonuję zawód, który wymaga specyficznych uzdolnień i ukończenia wyższej uczelni; pod względem śmiertelności lokuje się on w czołówce statystyk UNESCO i — według tych statystyk — powinienem niedługo umrzeć, może nawet jutro albo nie — lepiej w sobotę po zamakietowaniu numeru. Po dwudziestu latach pracy zarabiam chyba ze trzy czwarte tego, co każdy z panów, którzy naprawiają rurę wodociągową pod moim oknem. Może to jest dokonanie.

Rura pęka mniej więcej dwa razy do roku w tym samym miejscu. Woda zalewa osiedlowe chodniki i trawniki. Trwa to jakieś dziesięć lat. Rura jest naszym dokonaniem, naprawiana przy pomocy naszych narzędzi i materiałów. Rodzimego chowu są też panowie pracujący na świeżym powietrzu i rodzima jakość świadczonej przez nich pracy.

Ale różnica pomiędzy moimi poborami a zarobkami tych ogłupiałych, zdemoralizowanych ludzi staje się dziwnie nieistotna, jeśli poczynić zewnętrzne odniesienia poza tzw. nasz obóz (bardzo trafne określenie). W RFN za przeciętną pensję miesięczną można kupić telewizor kolorowy (japoński, stereofoniczny) i jeszcze zostanie na przyzwoitej klasy video. Nieźle jak na kraj, który przegrał wojnę. Szczególnie, że w Polsce, która podobno wojnę wygrała, na zakup takiego sprzętu trzeba by pracować — lekko licząc — około pięciu lat.

Kiedyś istnieli w PRL uczeni, którzy poważnie usiłowali dowodzić przewagi socjalizmu nad kapitalizmem. Nie wiadomo, czy chociaż jednemu z nich to się udało, ale ostatnimi laty gatunek ten znalazł się coś jakby na wymarciu.

☆

Byłem kiedyś w Łosicach i piłem piwo „Dojlidy Złote". A może odwrotnie — byłem w Dojlidach Złotych i piłem piwo „Łosice". Tak czy owak piwo było kiepskie. Więc dlaczego ja to piwo piłem? Nie miałem innego wyboru.

Wyprawa po złote runo, czyli jak handlowałem w Wiedniu

ZAPISKI SZMUGLERA - AMATORA

Łukasz Jackowski

Wtorek

Wyjazd w nocy o 23.00. Dwa maluchy pełne towaru. Bielizna pościelowa, ręczniki, ściereczki lniane, obrusy, kryształ, szampan, papierosy, rosyjska maszynka do golenia, małe dresiki dla dzieci. Załoga — 5 osób.

Środa

Rano około 5.00 jesteśmy na granicy w Cieszynie. Kolejka liczy kilkaset samochodów. Wszyscy stoją cierpliwie. Kilka aut na zagranicznych numerach przemyka bokiem, odprowadzanymi zazdrosnymi spojrzeniami kolejkowiczów. Wszystko idzie jednak w miarę sprawnie i około południa jesteśmy już na przejściu.

Polski celnik robi nam awanturę za brak karty przekroczenia granicy. Próbuję bronić się jakoś, że przecież to oni powinni mieć karty, że przecież ogłaszano w prasie... W odpowiedzi dowiaduję się, gdzie celnicy mają prasę polską i wszelką inną. Wreszcie po paru minutach funkcjonariusz z krzyżem harcerskim na czerwonym tle w klapie munduru (ochotnik?) wyjmuje z przepastnej raportówki kartę i podaje mi, burcząc coś jeszcze pod nosem.

Czesi, sztywni i oficjalni, nic nie sprawdzają. Każą jedynie wypełnić deklaracje celne. Wypełniamy.

O 12.30 jesteśmy w odwiecznie zaprzyjaźnionej Sodjalistycznej Republice Czechosłowackiej. Brudno i śmierdzi jak u nas, tyle że drogi jakby lepsze i więcej towarów w sklepach.

Pierwszy postój w Ołomuńcu. Panowie podśpiewują hymn wyprawy, „W Ołomuńcu na fiszplacu...". Tekst mało cenzuralny, więc nie bez żalu rezygnuję z dłuższego cytatu.

Rozglądamy się za piwem Jest. Doskonałe.

Parkujemy w okolicach owego fiszplacu i przepakowujemy bagaże z dachu do środka samochodów. W kamienicy tuż nad nami otwiera się okno i młoda dziewczyna daje nam znaki, byśmy zaszli od tyłu do zakładu z rzeczami do sprzedania. Delegujemy więc dwóch młodzieńców z żyłką handlową. Sprzedają parę drobiazgów i jest już nie tylko na piwo, ale i na coś do piwa. Próbujemy jeszcze coś sprzedać, ale zainteresowanie jest nikłe. Zaglądamy do zakładów fryzjerskich, małych sklepików, restauracji. Bez efektów. Rynek jest już nasycony „polszczyzną". Postanawiamy pojechać nieco dalej, zbaczając z głównej trasy na Wiedeń.

Wieczór zastaje nas w miasteczku Prerov. Po krótkiej naradzie postanawiamy nocować w hotelu. Niestety, nie udaje się ulokować wszystkich w jednym dwuosobowym pokoju. Bierzemy więc dwa. Jeden z ekipy śpi na waleta.

Przed nocą próbujemy jeszcze handlu w hotelu. Idzie gorzej niż źle. W pewnym momencie przed hotelem dopada nas grupa Cyganów i robi się straszny harmider. Jakaś Cyganka wyciąga bluzkę, inna buty, ktoś jeszcze inne kłamoty. W całym zamieszaniu pojawił się nagle młody Cygan potężnej budowy, rozgonił resztę towarzystwa i wziął nas ze sobą. Początkowo zdezorientowani, szybko połapaliśmy się w sytuacji. Cygan chciał pomóc w handlu i dostać coś za pośrednictwo. Szybko udało mu się przełamać naszą nieufność. Obeszliśmy kilka restauracji, próbując sprzedać, co się da, niestety, znów bezskutecznie.

Wreszcie już po drodze do hotelu Cygan Mirek (tak się przedstawił) postanowił kupić od nas dżinsową spódnicę i buty. Weszliśmy razem do bloku, gdzie miał mieszkać, i po uzgodnieniu ceny Mirek wraz z towarem zniknął w windzie, udając się po pieniądze. Po półgodzinnym oczekiwaniu zrozumieliśmy, że daliśmy się w najgłupszy z możliwych sposobów wystrychnąć na dudka. Po krótkich oględzinach bloku, który miał kilkadziesiąt mieszkań, zrezygnowani i w podłych humorach wróciliśmy do hotelu.

Czwartek

Noc była fatalna. Nie dość, że hotel był 7- czy 13 kategorii, to jeszcze męczyły nas nocne zmory. Jacyś celnicy, Cyganie, targowanie się o ciuchy itp. Koszmar.

O 7.00 wszyscy byliśmy na nogach i postanowiliśmy nie dać za wygraną. Obaj zrobieni w konia poprzedniego wieczoru udaliśmy się na poszukiwania Cygana. Dokładna penetracja bloku nic nie dała. W ostatniej chwili, gdy zrezygnowani chcieliśmy wychodzić, pojawił się w wejściu do klatki schodowej młody Cygan o cywilizowanym wyglądzie. Po krótkiej rozmowie postanowił nam pomóc. Bez większych problemów zidentyfikował oszusta, podał nam jego adres i personalia.

Podjechaliśmy maluchem do baraku, w którym mieszkało parę cygańskich rodzin. Dół budynku zupełnie zdemolowany, na górze odgłosy kłótni. W jednym z pokoi odnaleźliśmy naszego Cygana, spitego na umór, z Cyganką w łóżku. Po pokoju szwendał się jedynie mały chłopczyk bez dolnych części garderoby, z klikiem do pasa. Po krótkiej rewizji znaleźliśmy swoje rzeczy, które wraz z klamką od drzwi (pamiątka) zabraliśmy, pospiesznie opuszczając lokal.

W dużo lepszych nastrojach wyruszyliśmy w dalszą drogę. Zwycięstwo było nie tylko natury ekonomicznej, ocaliliśmy dumę narodową. Nie będzie się taki, panie, Cygan z Polaków naigrawał.

Po drodze dalej handlujemy. Tym razem idzie zupełnie nieźle. Zaglądamy do przedszkoli, szkół, restauracji i zakładów fryzjerskich. Wszędzie, gdzie pracują młode kobiety. Atmosfera jest przyjazna, wręcz serdeczna. Zupełnie inaczej niż na granicy. Zapraszają nas zawsze na zaplecze i tam dobijamy targu. Wieczorem wszystko już sprzedane. Jedziemy do Austrii. O północy docieramy do granicy.

Piątek

Przekraczamy granicę czechosłowacką bez żadnych problemów. Austriacy również bez słowa puszczają pierwszy samochód, mimo że wiezie sporo towarów. Stary wąsaty celnik pobłażliwie przegląda zawartość walizek. Z drugim maluchem jest gorzej. Trzeba zapłacić cło. Początkowo mowa była o 600 szylingach, po krótkich pertraktacjach dogadujemy się na 400, czyli około 30 dol. Trudno.

Zaraz po przekroczeniu granicy zjeżdżamy z trasy i nocujemy w samochodach w jakiejś małej wiosce. Rano myjemy się w rosie, rozmawiamy z wieśniakami łamaną niemczyzną i jedziemy do stolicy.

Dwa maluchy w Wiedniu wyglądają jak słoma z butów na eleganckim przyjęciu. Naokoło lśniące, szybkie samochody, cichutko sunące po ulicach. My, stłoczeni w cudzie polskiej motoryzacji zbieramy pobłażliwe spojrzenia na każdym skrzyżowaniu. Maluch dusi się na wolnych obrotach, szarpie, gaśnie, ale w końcu jakoś jedzie.

Nic nie wychodzi z załatwiania noclegu. Oglądamy więc dokładnie plac targowy i idziemy na Stare Miasto pod katedrę Stefana. To nasz pierwszy i chyba ostatni turystyczny wieczór w Wiedniu. Spacer był uroczy. Rozświetlone wystawy ekskluzywnych sklepów, wielobarwny tłum zadowolonych z siebie ludzi, bardzo ciepło jak na tę porę roku. Największe wrażenie wywiera jednak na przybyszach znad Wisły unosząca się w powietrzu atmosfera luzu i spokoju. Starsze małżeństwa elegancko ubrane, roześmiani młodzi ludzie. Być może powierzchowne, ale nieodparte wrażenie, że oni wszyscy żyją tu zupełnie inaczej.

Nocujemy w samochodach. Ciasno, a na dodatek przepędza nas z ulicy na ulicę policja. Nie karzą mandatami, tylko przeganiają. Przejeżdżamy więc kawałek dalej, parkujemy i śpimy w najlepsze. Na dłuższą metę jest to jednak męczące. Dyskryminowani są głównie właściciele maluchów. Tym w polonezach i dużych fiatach rzadko kiedy przerywano drzemkę.

Sobota

Wcześnie rano ustawiamy się w kolejce po wykupienie placu targowego. Stoimy na zmianę od trzeciej. Rano okazuje się, że tylko zameldowani na stałe mogą legalnie handlować. Odchodzimy z kwitkiem.

W końcu kupujemy plac od jakiegoś Turka po paskarskiej cenie, ale chcemy zachować przynajmniej pozory legalności. Lepsze to niż pokątny handel w samochodach i okolicznych bramach, gdzie goni policja i węszą tabuny tajniaków.

Wydelegowani do handlu zostają na placyku, reszta rozchodzi się po bazarze oglądać, co, kto, gdzie i za ile. A kupić tu można wszystko, od guzików i starych orderów do skórzanych kurtek, telewizorów i sprzętu Hi-Fi. Sporo jest też starzyzny prawdziwej i cennej oraz zwykłego szmelcu.

Handluje wielu Polaków. Nie brak Jugosłowian, Turków, Rosjan i innych. Właściwie rzadko mówi się tu po niemiecku. Przeważa slang oparty na jugosłowiańskim z domieszką rosyjskiego i niemieckiego.

Sprzedajemy dość szybko wiele rzeczy. Ceny są na poziomie 1/3 cen austriackich i około 200—300 proc. cen w Polsce. Polacy sprzedają wszystko: tekstylia, narzędzia, sprzęt elektryczny, konserwy, kryształy itp. Wielu jest łapanych przez tajniaków względnie mundurowych.

Gdy po dwóch godzinach wałęsania się po bazarze wracam na nasz placyk, widzę, że jest pusty. Polak handlujący obok podchodzi do mnie, rozglądając się wokół nerwowo.

— Panie kochany, zwinęli wszystkich — macha ręką z rezygnacją. — Wpadło ich tu ze sześciu, trzech tajniaków i trzech mundurowych. Zabrali paszporty, słowo honoru, szkoda gadać...

— Na pewno ta austriacka kurwa ich podkablowała — dorzuca ktoś nieznajomy z boku, pokazując na starszą panią, która bez większych rezultatów handlowała przy sąsiednim placyku. Najprawdopodobniej zirytowana dużym ruchem obok, nie zdzierżyła...

Pół godziny później wszyscy złapani wracają. Humory o dziwo nie najgorsze. Okazało się, że jakaś Polka pracująca w policji austriackiej wybroniła ich na tyle, że po zapłaceniu 200 szylingów kary na twarz puszczono delikwentów wolno. Co najważniejsze, nie skonfiskowano pieniędzy i innych towarów, co tego dnia było niemal regułą.

W kwadrans później zrywa się krótka i gwałtowna burza. Większość sprzedających pospiesznie chowa towary i zbiera się do domów. Po burzy zostają właściwie tylko Polacy. Nie ma już policji, wystraszonej zapewne kaprysami aury.

Do wieczora sprzedajemy wszystko, co przywieźliśmy, choć ceny popołudniowe są zdecydowanie niższe niż poranne. Po skończonych interesach idziemy jeszcze raz w okolice katedry Stefana. Postanawiamy poszaleć. U McDonalda fundujemy sobie hamburgery i piwo. W lodziarni naprzeciwko sprzedają dość tanio lody w bodaj czterdziestu smakach. Podjąwszy trudną decyzję, decydujemy się na kilka z nich i wracamy do samochodów z lodami.

Parę chwil później przejeżdżamy obok Uniwersytetu Wiedeńskiego, po czym wjeżdżamy na trasę wylotową z miasta. Znowu zaczyna padać, w maluchu popsuły się wycieraczki po stronie kierowcy. Jedziemy więc 40 km/godz., przy czym kierowca naciska tylko pedały gazu, hamulca i sprzęgło, a kieruje siedzący obok niego pasażer, bo jego wycieraczki pracują. Ten kabaret nie trwa na szczęście długo. Deszcz ustaje zaraz za Wiedniem. Północ zastaje nas w drodze.

Niedziela

Tuż przed granicą zatrzymuje nas kierowca malucha na polskich numerach. Okazuje się, że zawrócili go austriaccy celnicy z 60 kg kawy. Przepisy zezwalają na przewiezienie tylko 30 kg na dwie osoby. Bierzemy więc po 15 kg na samochód i jedziemy w trzy samochody na przejście graniczne. Przejeżdżamy pierwsi, właściwie bez żadnej kontroli. Nasz rodak, znany już celnikom, stoi dłużej. Kopią po całym samochodzie, ale nie znajdują już trefnej kawy. Wszystko zgodnie z prawem. Paręset metrów dalej przepakowujemy kawę z powrotem. Obdarzeni jedną paczką pachnącej Mokki i dozgonną wdzięcznością szmuglera przekraczamy granicę czechosłowacką.

Następny, trzeci z rzędu nocleg w maluchach. Kierowcy są bardzo zmęczeni i śpimy do dziewiątej. Rano ruszamy dalej. Przy trasie znajdujemy hotel, a w nim stosunkowo tani posiłek i kąpiel. Próbujemy paru gatunków piwa, jednak z wyjątkiem Pilsnera żadne nie dorównuje Perle Chmielowej.

O trzeciej po południu docieramy do Cieszyna. Znów monstrualna kolejka. Tym razem idzie jeszcze sprawniej. Niestety, na granicy niemiła niespodzianka. Czesi żądają deklaracji, którą otrzymaliśmy po drodze do Wiednia. A my deklaracje uznaliśmy za niepotrzebne i pływają zapewne gdzieś w „pięknem mądrem Dunaju". Błąd się wkradł.

— Po 100 koron kary — zaordynował Czech głosem nie znoszącym sprzeciwu i to w czystej polszczyźnie.

Na szczęście mieliśmy (nielegalnie, rzecz jasna) rezerwę koron. Gdyby nie to, trzeba by było wymienić w banku imperialistyczne dolary, gdyż z trudnych do wyjaśnienia przyczyn czeskie banki pałają awersją do porządnych socjalistycznych złotówek. Kurs dolara analogiczny do polskiego państwowego, czyli śmieszny. Ewentualnie można by było zainscenizować pożyczkę od znajomego Czecha, która to możliwość była poważnie rozważana, ale na szczęście nikt nie pytał o pochodzenie koron i jakoś przeszło.

Ojczyzna powitała nas nowymi cenami benzyny.

W nocy dotarliśmy do domu.

Po podliczeniu kosztów imprezy, uwzględniając wszystkie wydatki, jak zakupy, kary, cła, kolacje w Wiedniu i noclegi w Czechach, bilans oscylował w okolicach zera. Za to doświadczeń i uciechy co niemiara.

LISTY - POLEMIKI

„PALIMY LUBLIN"

Zarząd Rewaloryzacji Zabytkowego Zespołu Miasta Lublina w nawiązaniu do artykułu z nr. 16 pt. „Palimy Lublin" występuje z wnioskiem o zorganizowanie dyskusji w redakcji na temat rewaloryzacji Starego Miasta w Lublinie obejmującej tematykę: program rewaloryzacji i jego realizacja, uwarunkowania finansowe, techniczne, projektowe, działalność Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Lublina i utworzenie Fundacji Odnowy Zabytków Lublina oraz działalność Zarządu Rewaloryzacji Zabytkowego Zespołu Miasta Lublina [...]

Wnioskodawca wyraża nadzieję, że publiczna dyskusja pozwoli na rzetelną informację dla społeczeństwa i ocenę przyczyn dotychczasowego zakresu prac rewaloryzacyjnych zabytkowego zespołu staromiejskiego.

Wiesław Tarnas (Dyrektor Zarządu Rewaloryzacji Zabytkowego Zespołu Miasta Lublina) oraz: przewodniczący związku zawodowego i sekretarz POP (podpisy nieczytelne)

OD REDAKCJI: Propozycję przyjmujemy, terminy ustalimy w porozumieniu z inicjatorami.

ZABRAKŁO DOBREJ WOLI W PARCZEWSKIM URZĘDZIE MIASTA

EKSMISJA

Izabella Wiszłowska

PISAŁA już wszędzie: do prokuratora, do wojewody, do Komitetu Wojewódzkiego PZPR, a nawet do Rady Ministrów. Wszystkie jej skargi wracały jak bumerang do Urzędu Miasta w Parczewie. Stamtąd otrzymywała ciągle te same odpowiedzi, że wszystko jest w porządku i nie ma podstaw do przyznania jej racji. I tylko jej siostra wciąż pozostaje bez dachu nad głową, bez pieniędzy, kartek żywnościowych, a nawet bez dowodu osobistego.

Anna P. kładzie przede mną teczkę z dokumentami...

Jej samotna, 64-letnia siostra Maria M., doprowadzona do ostrej nerwicy, unika kontaktów z urzędnikami, do których zupełnie straciła zaufanie. Boi się też rozmowy z dziennikarzem. „Ale czy to ma przekreślić krzywdę, którą jej urzędnicy wyrządzili?" — dopytuje się Anna P.

Anna P. dobrze pamięta dzień, a właściwie noc 7 grudnia 1984 roku, kiedy to ostry dzwonek u drzwi poderwał ją z łóżka. Na progu stała siostra w cudzym, przydużym płaszczu. Przyjechała z Parczewa do Lublina za pożyczone pieniądze. Ledwo zdołała z siebie wykrztusić, że odbyła się eksmisja, a ją w tym czasie, kiedy się eksmisja odbywała, zamknięto w komisariacie MO.

— Życie Marii — mówi Anna P. — to ciągła, mrówcza, ciężka praca, za którą od nikogo nawet słowa „dziękuję" nie otrzymała. Przed wojną zaczęła uczęszczać do gimnazjum, ale naukę przerwała wojna i na tym edukacja się zakończyła. W czasie wojny matka nasza zaczęła chorować, a w 1946 roku zmarła. Maria zajęła się prowadzeniem domu i opieką nade mną i bratem. Pomagała też ojcu w prowadzeniu gospodarstwa. W 1950 roku wyjechałam do Lublina. Założyłam rodzinę i mieszkam tu do dnia dzisiejszego. Brat też się ożenił. Ojciec oddał mu część swojego gospodarstwa, a na pozostałej gospodarzył razem z Marią. W 1968 roku ojciec miał wypadek, przeszedł operację i w 1974 roku zmarł. Brat, mimo iż mieszkał w Parczewie, nie interesował się gospodarstwem siostry ani losem ojca. Miał własną rodzinę, pracę i gospodarkę. Po śmierci ojca też nie obchodził go zbytnio los siostry, która jakoś dawała sobie radę aż do momentu, kiedy Urząd Miasta w Parczewie wszczął postępowanie wywłaszczeniowe działki siostry — pod budowę kolektora. Wtedy to zaczęła się gehenna, która pośrednio i mnie dotyczy. Urząd Miasta tak pokierował sprawą wywłaszczeniową, że siostra od 7 grudnia 1984 roku tuła się po cudzych kątach jak żebraczka. I to jest zapłata za jej ciężką pracę, którą wykonywała przez całe życie.

W URZĘDZIE Miasta w Parczewie dowiaduję się, że plan ogólny zagospodarowania miasta przewidywał budowę obwodnicy, która usprawniłaby ruch w mieście. Realizacja tej inwestycji rozpoczęła się w 1981 roku. W związku z budową obwodnicy należało wywłaszczyć kilku mieszkańców ulicy Armii Czerwonej, w tym Marię M.

Urzędujący od trzech miesięcy nowy naczelnik miasta, przysłuchujący się mojej rozmowie z pracownikami Urzędu, uświadamia mnie, że postępowanie wywłaszczeniowe to skomplikowany proces, bowiem ludziom trudno pogodzić się z faktem, że państwo musi zabrać im na cele społeczne niekiedy dorobek całego życia lub nawet pokoleń. Utrudnianie przez nich postępowania wywłaszczeniowego nie należy do rzadkości.

— I tak też było w tym przypadku — słyszę. — Maria M. nie uregulowała tytułów własności na posiadane nieruchomości, a więc Urząd musiał sam wystąpić do sądu o stwierdzenie praw spadkowych po zmarłym Jacentym M. Nie przyjmowała też korespondencji kierowanej do niej z Urzędu Miasta.

Przeglądając teczkę z dokumentami, zauważyłam, że korespondencja z Urzędu Miasta kierowana była do Marii M. pod trzy różne numery na tej samej ulicy. Na fakt ten zwrócił również uwagę w późniejszym swoim wystąpieniu prokurator rejonowy w Parczewie. Oczywiście nie mogło to spowodować unieważnienia decyzji naczelnika dotyczącej eksmisji, bowiem listonosz, znający przecież wszystkich swoich odbiorców, doręczał w efekcie Marii M. korespondencję z Urzędu Miasta. Świadczyło to jednak o wybitnie lekceważącym i niechlujnym postępowaniu Urzędu w stosunku do obywatela i to właśnie w tzw. sprawie trudnej i drażliwej.

— W połowie 1984 roku — mówi Anna P. — Urząd Miasta wszczął postępowanie wywłaszczeniowe kilku posesji położonych przy ulicy Armii Czerwonej, pod budowę kolektora i przyszłej obwodnicy. Trasa kolektora miała przebiegać przez posesję nr 60 i częściowo 58, a na części działki mojej siostry pod numerem 62 planowano obwodnicę, która miała być budowana w przyszłości. Powiedziano siostrze, że w dalszym ciągu może więc uprawiać ogród warzywno-owocowy. Kiedy więc 17 października 84 roku otrzymała decyzję o natychmiastowej eksmisji skierowaną pod numer 60, uważała to za pomyłkę urzędu względem jej osoby.

— Nie można było dłużej czekać — słyszę od pracowników Urzędu Miasta. — Maria M. otrzymała mieszkanie zastępcze na ulicy Zjednoczenia, ale odmówiła podpisu na decyzji naczelnika. Wysłaliśmy więc upomnienie, że jeżeli nie opróżni domu, to ją wyeksmitujemy. Zachowaliśmy zatem wszystkie obowiązujące Urząd formy. No i 7 grudnia 84 roku odbyła się eksmisja Marii M. z ulicy Armii Czerwonej do mieszkania zastępczego przy ul. Zjednoczenia. W eksmisji uczestniczyło dwóch pracowników Urzędu Miasta, przedstawicielka ADM i funkcjonariusz MO. Ponieważ Maria M. zachowywała się agresywnie i nie dała pakować swoich rzeczy, została odwieziona do komisariatu i tam przetrzymana. Wszystkie jej rzeczy zostały spisane, o, proszę, tu są protokóły. Nawet zdjęcia porobiliśmy. Rzeczy przewieziono do mieszkania zastępczego, które zostało zaplombowane. Kiedy Marię M. wypuszczono z komisariatu, nie chciała podpisać protokółów z eksmisji i wziąć kluczy od mieszkania zastępczego. I do dnia dzisiejszego znajdują się one w kasie pancernej w Urzędzie Miasta.

W MARCU 85 r. prokurator rejonowy w Parczewie, rozpatrując skargę Marii M., wystosował do naczelnika pismo: „...stwierdziłem nieprawidłowości o charakterze formalno-prawnym, które wprawdzie nie mogą skutkować zmianą lub uchyleniem rozstrzygnięcia w sprawie eksmisji, jednak świadczą o nieprzestrzeganiu w pełni przez podległych ob. naczelnikowi pracowników obowiązujących przepisów kpa i ustawy o postępowaniu egzekucyjnym. Odnosi się to między innymi do kierowania korespondencji do Marii M. Drugim poważnym uchybieniem było przeprowadzenie już samej eksmisji z naruszeniem art. 49 cytowanej ustawy. W trakcie eksmisji powinni uczestniczyć świadkowie. Ich udział jest tym bardziej uzasadniony w sytuacji, gdy nastąpiło wydalenie zobowiązanego z miejsca eksmisji, co w przedmiotowej sprawie miało miejsce. Twierdzenie pracownika przeprowadzającego egzekucję, że świadkami byli pracownicy ADM i funkcjonariusz MO oraz osoby wyznaczone do przeprowadzenia eksmisji, należy uznać za nieprzekonywające, zwłaszcza jeśli się zważy, iż wykonywali oni faktycznie czynności związane z dokonaniem samej eksmisji".

Tyle prokurator. Naczelnik zaś odwrotną pocztą objaśnił prokuratora, iż w dalszym ciągu uważa, że „art. 49 miał zastosowanie, gdyż jako świadkowie eksmisji wytypowani zostali inspektor Urzędu Miasta oraz pracownik ADM".

Kiedy w dwa tygodnie po eksmisji pojechałam z siostrą do Parczewa — mówi Anna P. — dom był już rozebrany, a urzędnicy kazali siostrze zabrać klucze od mieszkania zastępczego i nie zawracać im głowy. Skąd siostra mogła wiedzieć, co się w tym mieszkaniu znajduje, skoro nie było jej przy przeprowadzce. Nie było też nikogo z osób jej bliskich ani sąsiadów. Posesja na Armii Czerwonej stała otworem, a zostały tam przecież budynki gospodarcze, w których znajdowały się narzędzia, maszyny. To był, proszę pani, rozbój. Co ta samotna kobieta miała wtedy zrobić?

Tymczasem po wymianie korespondencji pomiędzy prokuratorem a naczelnikiem, a więc 4 kwietnia 1985 roku, odbyła się dalsza część eksmisji Marii M. z jej dóbr rodzinnych, o której dowiedziała się po fakcie. Tym razem eksmisja objęła budynek gospodarczy, oborę i stodołę.

— Wszystkie rzeczy zostały spisane do protokółów — słyszę od pracowników Urzędu Miasta — przewiezione na bazę Miejskiej Służby Drogowej i zabezpieczone. Ponieważ Maria M. nie interesowała się nimi, część maszyn została sprzedana na licytacji w 1986 roku. Wysyłaliśmy jej na lubelski adres siostry zawiadomienia, aby zajęła mieszkanie na ulicy Zjednoczenia, ale ona się uparła i nic do niej nie dociera. Więc 12 kwietnia 89 roku naczelnik podjął decyzję: „Orzekam utratę ważności decyzji [...] w stosunku do pomieszczenia zastępczego zlokalizowanego przy ul. Zjednoczenia". Decyzję wysłano na lubelski adres siostry. Nikt się od niej nie odwołał.

— Decyzja stała się prawomocna — mówi nowy naczelnik. — Pani M. nie dopełniła formalności związanych z zagospodarowaniem mieszkania. Nie opłacała przez te lata czynszu, a stojący pustostan budzi niezadowolenie wśród mieszkańców Parczewa. Postąpiłem zgodnie z przepisami.

SĄSIEDZI Marii M. z ulicy Armii Czerwonej pokazują mi działkę, na jakiej stał dom, z którego ją wyeksmitowano, zabudowania gospodarcze i ogród.

— Ona była pierwsza, którą stąd wyeksmitowali. Z samotną kobietą Urząd zrobił, co chciał. A reszta sąsiadów była już przestraszona, że i z nimi tak postąpią, więc wywłaszczenie poszło jak po maśle.

— Ale przecież Marię M. wywłaszczono tylko z działki 1401/1 o powierzchni 1246 m kw. Pozostała nadal jej własnością działka 1401/2 o powierzchni 3436 m kw. W którym miejscu jest ta działka?

— Pani! A kto to wie? Z tego, co widać, wygląda, że jej wszystko zabrali. Łatwo było przyjść, wyrzucić z domu, zniszczyć płoty, wyrwać pale graniczne. Ale pozostawić właścicielowi to, co mu państwo nie zabrało, w takim stanie, aby nadawało się do użytkowania, o, tego to już nie można wymagać od żadnego urzędnika. Oni górą. Kto się z nimi będzie szarpał? Ze starym, samotnym człowiekiem nikt się liczył nie będzie. Szkoda jej. To była pracowita kobieta.

INTERESUJĄCĄ w całej tej sprawie wydaje się być jeszcze kwestia odszkodowania za przejętą przez państwo nieruchomość. Ze sterty dokumentów, które oglądałam, wynika, że 15 maja 1984 roku naczelnik Parczewa orzekł wywłaszczenie Marii M. z działki 1401/1, a odszkodowanie za nieruchomość ustalił na rzecz spadkobierców Jacentego M., tj. Marii M., Anny P. i Mieczysława M., po 1/3 każdemu.

Jak wynika dalej z dokumentów, odwołanie od tej decyzji wniosła Maria M., nie kwestionując jednak zasadności wywłaszczenia (a więc zdawała sobie sprawę z tego, że jest ono nieuniknione) ani kwoty odszkodowania, twierdząc natomiast, że wywłaszczana nieruchomość nie wchodzi w skład spadku i stanowi jej wyłączną własność. A w skład spadku wchodziło jeszcze przecież gospodarstwo rolne.

W grudniu 1984 r. Marię M. wyeksmitowano z domu, a w kwietniu 85 r. z reszty działki. 24 stycznia 1986 roku naczelnik wydał decyzję, w której ustalił kwotę odszkodowania na 1 894 982 zł po 1/2 na rzecz Marii M. i jej brata Mieczysława M. Urząd we własnym zakresie rozstrzygnął bowiem dokonanie podziału masy spadkowej (z uwagi na brak tytułów własności przez spadkobierców), biorąc pod uwagę to, że nieruchomość wraz z budynkami wchodziła w skład gospodarstwa rolnego, a spadek dotyczący gospodarstwa z mocy ustawy nabywają Maria M., która w nim pracowała, i Mieczysław M., który prowadzi swoje gospodarstwo, nie zaś Anna P., która pracuje poza rolnictwem.

W kolejnej decyzji z 2 maja 1986 roku naczelnik postanowił ustalić wysokość odszkodowania na 1 342 794 zł. Ale już 14 maja postanowił sprostować tę kwotę do 2 020 400 zł, bowiem „w trakcie wykonania decyzji stwierdzono, że popełniono błąd rachunkowy wynikający z podliczenia składników majątkowych".

Kwota ta została złożona przez Urząd Miasta do depozytu sądowego i leży tam po dzień dzisiejszy. A skołowana Maria M. i jej siostra wciąż pisały skargi i odwołania.

ZESPÓŁ Interwencyjny Wojewódzkiej Komisji ds. Skarg i Listów KW PZPR w Białej Podlaskiej po zbadaniu akt sprawy i rozmowie z Marią M. stwierdził:

„Zarzut M., że została pozbawiona środków do życia, jest niezasadny, gdyż należności za wywłaszczone mienie są zdeponowane. Ob. M. nie może ich podjąć, gdyż toczą się sprawy sądowe. Mimo iż Ob. M. od dawna wiedziała, że posiadłość będzie wywłaszczona, nie doprowadziła do uregulowania spraw spadkowych. Ob. M. została poinformowana o możliwości uzyskania zasiłku z opieki społecznej do czasu rozstrzygnięcia przez sąd sprawy spadku. Z tej możliwości Ob. M. nie skorzystała.

Zarzut, że została pozbawiona mieszkania i rzeczy osobistych, również nie jest prawdziwy [...]. W czasie eksmisji wszystkie rzeczy osobiste zostały komisyjnie przewiezione do nowego mieszkania. Klucze od zabezpieczonego mieszkania znajdują się w Urzędzie Miasta. Od czasu eksmisji Ob. M. nie interesuje się własnym mieniem i nie chce wejść do mieszkania [...].

Od początku wywłaszczenia brak było współpracy Ob. M. z Urzędem Miasta, mającej na celu bezkonfliktowe uregulowanie sprawy [...]. Zdaniem Komisji, Ob. M. nie stała się krzywda. Zabrakło jedynie dobrej woli ze strony Ob. M., a w części i Urzędu Miasta, by trudny a konieczny proces wywłaszczenia przebiegał zgodnie z prawem i był jak najmniej uciążliwy dla obydwu stron".

CZY TO NIE PARANOJA?

Rozmowa z Bogusławem Lindą

Fot. Tadeusz Wyszyński

— Czy jest pan człowiekiem czynnie zaangażowanym w życie społeczno-polityczne? Pańskie role zdają się wskazywać na taką postawę i stąd ciąg dalszy pytania: co sądzi pan o naszej rzeczywistości?

— Owszem, dużo zagrałem ról, które zdecydowanie mogłyby mnie klasyfikować jako człowieka czynnie ingerującego w życie społeczno-polityczne Polaków. Chętnie grałem te postacie, ponieważ wydawało mi się, że było zapotrzebowanie na takie filmy i takich bohaterów. Odpowiadając na drugą część pańskiego pytania, uważam, że nasza rzeczywistość jest paranoiczna, bezsensowna, beznadziejna.

— A samo społeczeństwo? Jak pan siebie w nim odnajduje?

— Staram się na co dzień nie myśleć, czy mam w nim swoje miejsce, czy też nie, czy się odnajduję, czy też gubię. Co sądzę? To samo pytanie może pan zadać przechodniowi na chodniku, jeżeli nie użyje brzydkich słów, to chwalić Boga.

— Emigracja pana nie pociąga?

— Nie nadaję się na emigrację, bowiem urodziłem się w tym kraju, czuję się z nim związany, odnalazłem tutaj swoje miejsce, zdobyłem jakąś pozycję. Wszędzie indziej musiałbym zaczynać wszystko od początku. Parokrotnie próbowałem zastanawiać się, czy nie warto by było zatrzymać się na dłużej tam lub gdzie indziej. Kończyło się to bardzo przykro dla mnie — po prostu nie wytrzymywałem.

— Tęsknił pan?

— Wydaje mi się, że to konstrukcja psychiczna nie wytrzymała. Istnieją ludzie, dla których jest obojętne, gdzie żyją, bo łatwo się asymilują na obczyźnie. Niestety, nie należę do nich.

— Pomówmy o sprawach bliższych panu z tytułu profesji. Twierdzą niektórzy, że naszym artystom brakuje jakiejkolwiek idei twórczej, że nasza narodowa kultura z każdym dniem upada. Artyści takie zachowania tłumaczą schyłkiem wieku, dekadencją...

— Fakt, mamy schyłek wieku, dla nas dziewiętnastego, ponieważ my się cofamy i bardzo różnimy się od reszty świata. Sądzę, że schyłek wieku wywołuje pewne przewartościowania, deformacje w kulturze i sztuce. Ale wiemy z historii, że upadek w sztuce, pewne zmiany tworzyły często rozkwit w wielu gałęziach artystycznych. Oczywiście, nie u nas.

— A jaki ślad pozostawia na pańskim aktorstwie schyłek wieku?

— Nie wiem. Staram się być sobą, nikomu nic nie zawdzięczam, do mnie państwo nie dopłaca.

— Oj dopłaca, dopłaca, jak mówi Jan Piatrzak...

— On tak mówi od pięćdziesięciu lat. Uważam, że my własnym zdrowiem dopłacamy do utrzymania tego interesu, a nie państwo.

— Jak wygląda u pana sprawa z teatrem? Czy nadal jest pan „wolnym strzelcem". Mówi się, że teatr najbardziej kształtuje osobowość artystyczną aktora?

— Zgadzam się z panem: teatr kształtuje osobowość artystyczną aktora, ale tylko wówczas, gdy poważnie traktuje się ten zawód. Osobiście nie traktuję poważnie aktorstwa, nie mam zamiaru kształtować swojej osobowości jako aktor. O swoim życiu zawodowym myślę w innych kategoriach niż przeciętny aktor polski. Teatr jest fantastycznym miejscem, ale tylko z daleka, kiedy się do niego tęskni i kiedy od czasu do czasu go się odwiedza. Na co dzień jest to małe miejsce, gdzie są zestresowani ludzie goniący za proszkiem do prania... Uważam, że nie ma w Polsce warunków, ażeby cokolwiek uczciwie tworzyć i nie ma też odbiorcy na tyle wypoczętego, ażeby mógł po pracy wsiąść w „zatruty" tramwaj i dojechać do teatru.

— Czegoś tutaj nie rozumiem. Mówi pan, że nie traktuje swojego wyboru zawodowego poważnie, będąc przy tym poważnym człowiekiem, który z sukcesem ciągnie ten „wózek z koksem".

— Może siebie nie traktuję poważnie. Ale nie widzę też powodu, ażebym poważnie myślał o niepoważnym zawodzie, tym bardziej w Polsce, gdzie „stawanie na głowie" nie ma racji bytu. Czy można w tym kraju być poważnym i uczciwym człowiekiem, który osiąga zamierzony cel? Tutaj jest wszystko odwrotnie. Nie tak dawno jeden z moich kolegów prosił, ażebym zagrał niewielki epizod w jego filmie. Zorientowałem się potem, że gdybym grał epizodyczne rólki, zarabiałbym dziesięć razy więcej niż grając główne role; po prostu taki jest przelicznik. Aktorzy wybitni zarabiają niewielkie pieniądze, za które potrafią ledwie przeżyć miesiąc, być może dlatego, że są ambitni i nie mogą pozwolić sobie na bylejakość. Natomiast tzw. szpece od epizodów, które nie zawsze dobrze im wychodzą, otrzymują dziesięć razy większe wynagrodzenie. Czy to nie jest paranoja?

— Przez pewien czas był pan związany z warszawskim Teatrem Studio, prowadzonym przez Jerzego Grzegorzewskiego. Jak panu się tam pracowało?

— Z Teatrem Studio byłem związany na innych trochę zasadach, niż to zazwyczaj bywa. Z Grzegorzewskim spotkałem się we wrocławskim teatrze,

SOŁŻENICYN

Jan Trochimiak

To, że Aleksander Isajewicz pozostał wśród żywych, uważał on za „cud Boży i tego inaczej nie rozumiał" (A. Sołżenicyn, „Bodałsja tielonok s dubom. Oczerki litieraturnoj żyzni"), YMCA - press, Paryż 1975, s. 9).

Józef Łobodowski, niedawno szerzej prezentowany w „Relacjach", tytuł zacytowanego dzieła „Bodałsja..." przełożył na „Łbem o mur". Tutaj, zgodnie z intencją A. Sołżenicyna (op. cit. s. 466), podajemy tytuł w tłumaczeniu dosłownym „Bodło ciele dąb" tak — samo, jak to uczyniono w innych językach obcych. Będziemy konsekwentnie trzymać się oryginału, gdyż autor szczerze i odważnie, zresztą bez cenzury, kreśli w nim swój szlak życiowy jako obywatel i twórca-konspirator.

W łagrach A. Sołżenicyn pisał utwory, których uczył się na pamięć, a manuskrypty niszczył. Postępowanie to przypomina zachowanie wybitnego dziewiętnastowiecznego przywódcy rewolucyjnej demokracji rosyjskiej, literata i uczonego (był przez niemalże 20 lat na zesłaniu), przyjaciela Polski, Mikołaja Czernyszewskiego.

Po odzyskaniu wolności Sołżenicyn swoje prace „powierzał" też ziemi we własnym ogródku; dlatego, jak się wyraził, zanim „pojechał umierać do Taszkientu", zakopał w butelce po szampanie rękopisy zapisane drobnymi literami na cienkim papierze skręconym w rulony. Matka już nie żyła, koledzy siedzieli w łagrach, żona nie chciała zabrać rękopisów, mimo że jej przebaczył przeszłość. Pisał intensywnie (nie mógł spać z powodu nowotworowego bólu) przed samym leczeniem. Bezpieczeństwu jego działalności twórczej sprzyjał fakt, że nigdy nie miał, przed zakończeniem druku, całości swego dzieła na stole.

Konspiracyjną praktykę pisania w byle jakich warunkach Aleksander Isajewicz „opanował" już dawno. Potrafił pisać w konwojowanej kolumnie, w mroźnym stepie czy odlewni. Dla pisarza i publicysty-konspiratora ważne są, w mniemaniu Sołżenicyna, trwałość poglądów i umiejętność milczenia; żeby nie powiedzieć dosadniej — trzymania języka za zębami.

Początkowo nie żenił się ponownie, aby nikt nie wiedział o jego działalności literackiej. Robił mikrofilmy i chował za okładki książek. Gdy pracował w szkole, udawał brak zainteresowania literaturą; udawał też wzorowego obywatela ZSRR, cieszącego się ze wszystkiego.

W 1959 roku miał na swym warsztacie pisarskim projekt utworu „Jeden dzień pewnego nauczyciela", ale zarzucił go i zaczął pisać dzieło, którego tytuł rozpoczyna się od tych samych słów. Niejawność działań literackich towarzyszyła całemu jego życiu małżeńskiemu. Reżymowa zasada: „nie chodzić w gości i nie przyjmować gości" była przestrzegana także przez jego żonę (w końcu 1956 roku postanowili ponownie zawrzeć związek małżeński).

W 1956 roku, na krótko przed tajną mową Nikity Siergiejewicza Chruszczowa, Sołżenicyna zwolniono z zesłania i anulowano mu wyrok. Mieszkał początkowo w obwodzie władimirowskim, a potem w Riazaniu. Przez wszystkie lata, aż do 1961 roku, był przekonany, że za jego życia nie będzie wydrukowane ani jedno jego słowo. Niektóre utwory pokazywał tym, których darzył zaufaniem. Zamysł opowieści „Jeden dzień w życiu Iwana Denisowicza" zrodził się zimą 1950—1951 roku, gdy Sołżenicyn przebywał w Ekibastuskim specjalnym łagrze. Temat zrealizował w 1959 roku jako „Szcz-854" („Odin dień zeka").

Utwór ten, będący historią jednego łagiernego dnia — „bez złych wydarzeń, prawie szczęśliwego" — tym bardziej szokuje czytelnika. Miał on poważny wpływ nie tylko na karierę literacką Sołżenicyna, ale także na życie społeczne i polityczne owych lat w ZSRR. Z tego też względu zajmiemy się bliżej historią jego wydania, reperkusjami, jakie wywołał, i następstwami opublikowania dzieła. Sołżenicyn zdecydował się na druk swego utworu w 1961 roku, po mowie wygłoszonej przez poetę Aleksandra Trifonowicza Twardowskiego na XX Zjeździe KPZR. Twardowski był redaktorem naczelnym pisma „Nowyj mir".

„Jeden dzień Iwana Denisowicza" trafił do redakcji miesięcznika „Nowyj mir" dzięki byłemu współtowarzyszowi Sołżenicyna z łagru, filologowi germaniście Lwu Zinowiewiczowi Kopielewowi (dziś mieszka w RFN). Dzieło mogło być wydrukowane tylko za zgodą najwyższych władz ZSRR. Wysoki rangą urzędnik partyjny Lebiediew czytał je Chruszczowowi na daczy w Piendzie. Sam Nikita, jak stwierdził Sołżenicyn, w ogóle nie lubił czytać, a „wykształcenie starał się czerpać z filmów". W połowie czytania zażądał on wezwania A. Mikojana i dalej słuchali razem. Los opowieści był zdecydowany podczas tego domowego czytania, ale Chruszczow chciał załatwić sprawę „demokratycznie".

Pewnego dnia redakcja „Nowego miru" otrzymała polecenie dostarczenia do rana 23 egzemplarzy dzieła. Chruszczow kazał rozdać egzemplarze głównym funkcjonariuszom partyjnym. Po jakichś dwu tygodniach, na kolejnym posiedzeniu politbiura (wtedy nazywało się ono prezydium), Chruszczow zażądał od jego członków akceptacji publikacji „Jednego dnia..." do druku. Członkowie politbiura nie wyrazili aprobaty na druk, ale też na szczęście, nie sprzeciwili się Chruszczowowi. 20 października Twardowski został przyjęty przez N. Chruszczowa, który zakomunikował mu decyzję.

Dyspozycyjny (a może wyjątkowo łatwowierny) poeta, który przedtem wierzył Stalinowi i szczerze opłakiwał jego śmierć (mimo cierpień własnej rodziny), teraz uwierzył Chruszczowowi. Później będzie usłużnie wierzył Leonidowi Breżniewowi (zob. A. Sołżenicyn, „Bodałsja..."). Trzeba jednak było, zgodnie z sugestią Lebiediewa, wyeliminować niewygodne rzeczy. Proponował on usunięcie Boga i stwierdzenia jego istnienia w słowach Tiurina oraz kwestii zagłady kadr kierowniczych w 1937 roku. Sołżenicyn zajął twarde stanowisko i nie pozwolił na usunięcie Boga z utworu. Śmieszną zaś uwagę, aby choć raz wymienić Stalina jako winowajcę nieszczęść, Sołżenicyn — wróg Stalina — oczywiście uwzględnił.

Twardowski wydrukował „Jeden dzień..." z jedenastomiesięcznym opóźnieniem. Wprawdzie po decyzji Chruszczowa cenzura jeszcze próbowała podkreślić swoją władzę, ale sporo w tym było winy Aleksandra Twardowskiego, choć należy zaakcentować jego życzliwość wobec twórczości Sołżenicyna. Twardowski, zawsze silną ręką trzymający redakcję „Nowego miru", wobec „wierchuszki" (sam był zastępcą członka KC KPZR i deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR) pozostawał aż nadto dyspozycyjnym barankiem. Naczelny „Nowego miru", jak twierdzi Sołżenicyn, szczerze go lubił, ale „tyranicznie" (zob. A. Sołżenicyn, „Bodałsja..."). Sam wybierał mu fotografa, sam pisał życiorys Sołżenicyna, przy czym kategorycznie sprzeciwiał się podaniu w nim, że Aleksander Isajewicz siedział w łagrach za krytyczne sądy o Stalinie.

Sołżenicyn skłonny był przypuszczać, że Twardowski przegapił falę antystalinizmu, moment, kiedy Nikita Siergiejewicz Chruszczow szukał, gdzie by jeszcze można i jaki kamień znaleźć, aby nim rzucić w Stalina. Aleksander Isajewicz zastanawiał się zresztą, czy nie powinien pójść do Chruszczowa osobiście, bez pośrednictwa. Wtedy całkiem realnie rysowała mu się wizja druku „Jednej nocy Stalina" z „Kręgu pierwszego" w pięciomilionowym nakładzie „Prawdy". Tymczasem Twardowski dawał do czytania tekst Korniejowi Czukowskiemu, Samuelowi Marszakowi, Konstantinowi Fiedinowi (ten się nie ustosunkował do niego), pozwolił też dać utwór do czytania Konstantinowi Paustowskiemu i Ilii Erenburgowi, choć ich nie uwielbiał. Zysk z tego był taki, że Sołżenicyn niepotrzebnie się „odsłonił", „zdekonspirował",

Wkrótce po wyjściu drukiem „Jednego dnia..." (nr 11 „Nowego miru" z

w czasie, gdy on przenosił się do Warszawy. Wtedy ja chciałem odejść na zawsze od teatru — wówczas Współczesnego w Warszawie. Jurek Grzegorzewski zaproponował mi przejście do Teatru Studio, gdzie nie będę musiał wszystkiego przyjmować, co mi zaproponują, a ponadto będę miał poczucie bezpieczeństwa — tzw. stały etat. Próbowałem to godzić przez dwa i pół roku. Potem doszedłem do wniosku, że udawanie obecnego w teatrze, kiedy mnie nie ma, jest bez sensu, i zerwałem umowę.

— Nie sądzi pan, że w „teatrze Grzegorzewskiego" jest zbyt dużo obsesji, jak na tak obsesyjne czasy?

— Uważam, że jest fantastycznie, gdy na dziesięć teatrów każdy jest inny. Myślę, że jest bardzo źle, kiedy każdy teatr pokazuje tę samą sztukę, mówi o tych samych problemach. Jest wspaniale, jeżeli spotykam człowieka, choć jednego, który różni się od ogółu. Lubię indywidualności.

— A jaki repertuar najbardziej pan ceni i lubi?

— Kocham klasykę. Szekspira mógłbym słuchać i oglądać bezustannie. Oczywiście to jest mój punkt widzenia, a jeżeli ktoś uwielbia Spielberga, to też jest w porządku.

— Który z filmów przyniósł panu największą satysfakcję artystyczną? Z którym bohaterem przez pana zagranym można pana identyfikować?

— Nie wiem, czy można mnie kojarzyć z jakąkolwiek postacią, którą grałem. Wydaje mi się, że wszystkie razem tworzą mój obraz aktorski. Wiem natomiast, że największą satysfakcję artystyczną przyniosła mi rola w filmie „Kobieta samotna" w reżyserii Agnieszki Holland.

— Największe uznanie publiczności i krytyków przyniosła panu rola w filmie „Matka Królów" Zaorskiego.

— Przypominam sobie czasy, w których powstawał ten film: był to początek stanu wojennego. Na zdjęcia jeździliśmy przez posterunki milicji i wojska z Warszawy do Łodzi. Było bardzo zimno i wszyscy byliśmy wściekli na to, co się wkoło nas dzieje. To uczucie dominowało do tego stopnia, że chcieliśmy mimo wszystko zrobić ten film jak najlepiej.

— Ma pan swoją filozofię twórczą?

— Nie mam żadnej filozofii. Podstawową sprawą jest dla mnie: być człowiekiem, a nie aktorem. Nie grać, nie udawać, nie być sztucznym, lecz aktywnie istnieć, utożsamiać się z ludźmi, przemawiać w ich imieniu. Być może to moje credo zawodowe jest niezwykle trudne, a z drugiej strony bardzo fascynujące.

— Czy zawód aktorski pomaga panu przy reżyserowaniu?

— Przeszkadza, bo są to dwa bardzo różne zawody. Aktorstwo jest zawodem bardzo egoistycznym. Trzeba myśleć tylko o sobie. Proszę zwrócić uwagę na naszą rozmowę: wszystko skupia się wokół mnie, cały czas mówię tylko o sobie. Aktor, który reżyseruje, mimo woli myśli, jak on by daną rolę zagrał. Reżyser powinien myśleć innymi kategoriami.

— Zgadzam się z panem, że egoizm jest czynnikiem dominującym w aktorstwie. Ale bardzo ważnym czynnikiem rzutującym na jakość aktorstwa jest wyobraźnia i wrażliwość. A więc mamy znów sprzeczności.

— Uważam, że wrażliwość jest niezależna od zawodu. To sprawa wychowania, kultury osobistej.

— Co, na podstawie ról granych i reżyserowanych filmów, chciałby pan ukazać widzowi? Do czego pan dąży?

— Chciałbym stworzyć widzowi kolorową bajkę, w której mógłby schować się jak do mysiej dziurki, poczuć się bezpiecznie i móc spokojnie rozmyślać o sobie i otaczającym go świecie. Moja działalność nie różni się od twórczości malarza artysty, kompozytora czy plastyka. Wszystkim nam chodzi o to samo.

— Porównanie z myślą dziurką, spokojem, może też kojarzyć się z samotnością. Czy jest pan samotnikiem?

— W pewnym sensie jestem. Ale nie w dążeniach aktorsko-reżyserskich, które mają na celu pomóc ludziom uciec od koszmarnej rzeczywistości. Wydaje mi się, że obecnie przeciętny zjadacz chleba bardzo potrzebuje filmów, w których można zobaczyć inny świat niż ten, który nas otacza. Ludzie mają dosyć koloru szarego. Dużo się zmieniło od czasu, kiedy „wchodziłem" w film, gdzie moda była na gatunek filmu „moralnego niepokoju".

— Sądzę, że większość postaci, które pan zagrał, zakwalifikować można właśnie do obdarzonych „moralnym niepokojem", zbuntowanych. Czy uważa pan, że bunt jest dzisiaj potrzebny?

— Myślę, że bunt miał i ma zawsze rację bytu u człowieka żyjącego wśród ludzi. Uważam, że jeżeli nawet jest to sytuacja bez wyjścia, to należy się buntować, sprzeciwiać powstałym okolicznościom, choćby dla zachowania godności osobistej, niepoddawania się. Walka jest podstawą egzystencji, szczególnie dla mężczyzny.

— Zapytam zatem, jak należy przegrywać?

— Tylko z godnością.

— Trudno mi, na podstawie pana wypowiedzi, dostrzec Bogusława Lindę, tego, którego wykładowcy krakowskiej PWST określają jako człowieka bardziej intuicyjnego, niż inteligentnego...

— Wykładowcy z krakowskiej PWST mają prawo określać mnie jedynie na podstawie okresu szkolnego, a nie dojrzałego. Szkoła jest tylko etapem kształtowania i uświadamiania osobowości. Aktorem człowiek staje się dużo później, kiedy odnajduje swój styl, swój sposób myślenia. W szkole teatralnej byłem bardzo młodym, naiwnym człowiekiem.

— Jaki w rzeczywistości jest Bogusław Linda?

— Nie interesuje mnie, jaki jestem w rzeczywistości, nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— A gdyby przyszło panu zagrać siebie samego w filmie?

— Nigdy nie zagrałbym siebie samego, jest to niemożliwe, ponieważ zawsze bym kłamał. Gdy pan spojrzy w lustro przy goleniu, to będzie się panu wydawać, że w lustrze odbija się pana wygląd, a to nieprawda, bo przecież wygląda pan inaczej. Człowiekowi trudno jest mówić o sobie prawdę, pamiętniki są zawsze kłamliwe.

— Na podstawie tej wypowiedzi wiem, jaki jest w rzeczywistości Bogusław Linda. Jest bardzo pesymistycznie nastawiony do życia, nie ufa nawet sobie, bierze życie za abstrakcję...

— Wydaje mi się, że żyjemy w czasach, w których nie możemy być sobą, brakuje nam nadziei, która często zawodziła. Rodzi się w nas pesymizm i zwątpienie.

— Czy łączy pan życie prywatne z zawodowym, czy też je oddziela?

— W profesjach artystycznych życie prywatne wiąże się nieomal całkowicie z zawodowym. Nie sposób tego oddzielić.

— A więc jest pan publiczną własnością?

— Bardzo szanuję ludzi, którzy chcą ze mną rozmawiać czy mnie oglądać. Lekceważę natomiast dęcie w „polskie gwiazdorstwo", w to, że ktoś uważa się za „wielkiego" aktora. Zadaję wówczas pytanie: „Gdzie? W jakim kraju?" Gdybym podjeżdżał Rolls-Roycem na premiery swoich filmów, miałbym fantastycznie ułożone życie, wówczas rozumiałbym, że zawdzięczam coś swojemu zawodowi. Niestety, jestem biednym człowiekiem. Taksówkarze wożący mnie na plan filmowy zarabiają dwukrotnie więcej ode mnie. Mówienie o roli polskiego artysty jest nieporozumieniem. Jeżeli ludzie mnie szanują, to bardzo dużo, ale nie mówmy o popularności — ten temat mnie drażni.

— Co w przyszłości?

— Chciałbym reżyserować, zagrać kilka ról, które by mnie zafascynowały i odmłodziły. Po prostu chcę pracować twórczo.

Rozmawiał:
Bogdan Kuncewicz

1962 roku) odbyło się plenum KC KPZR. Do kiosków obsługujących plenum przerzucono kilka tysięcy egzemplarzy czasopisma. „Z trybuny plenum Chruszczow oświadczył, że jest to ważna i potrzebna książka. Mojego nazwiska nie wypowiadał i nazywał autora także Iwanem Denisowiczem. On nawet — pisał A. Sołżenicyn — uskarżał się wobec plenum na swoje politbiuro: «Ja ich pytam — będziemy drukować? A oni milczą!...» I członkowie plenum ponieśli z bazaru książkowego — dwie książeczki: czerwoną (materiały plenum) i niebieską (11. numer „Nowego miru"). Tak, śmiał się Twardowski — i każdy niósł pod pachą — — czerwoną i niebieską" (A. Sołżenicyn, „Bodalsja...").

Druk „Jednego dnia..." sprawił, że sława Sołżenicyna wzrosła w ciągu jednej nocy z żadnej do gigantycznej. W 1963 roku wyszła w wydawnictwie „Sowietskij pisatiel" w Moskwie kolejna edycja tej opowieści w nakładzie 100 tys. egzemplarzy, a w „Roman-gazietie", również w stolicy ZSRR w ilości 700 tys. egzemplarzy.

Dla Chruszczowa utwór ten stał się orężem w walce z zatwardziałymi stalinistami w partii, a jego druk stanowił punkt kulminacyjny kampanii antystalinowskiej. Wściekłość literatów partyjnych, przy powściągliwej równocześnie reakcji sympatyków i zdziwieniu „liberalnej" inteligencji, była efektem rozbieżności stanowisk względem Sołżenicyna i jego dzieła. Nie inaczej rzecz się miała z czytającą publiką. Rozlegały się też głosy, aby ran nie rozdrapywać; głosy wyciszające, zazamazujące, kamuflujące terror tamtych lat. Krytyka stalinizmu zaczęła powoli tracić swe ostrze. Sołżenicyn stał się znów ostrożny, nie trzymał we własnym domu tego, co napisał.

W 1963 roku „Nowyj mir" zaproponował „Jeden dzień Iwana Denisowicza" do Nagrody Leninowskiej.

Sołżenicyn, gwiazda pierwszego kremlowskiego spotkania twórczej inteligencji z przywódcami partii i rządu (17 XII 1962 r.) na drugim takim spotkaniu (7—8 III 1963 r.) nie był już gwiazdą. Atak Chruszczowa na twórców, jego wulgarne zachowanie na tej drugiej masówce z wielokrotną przewagą stalinistów, na razie szczęśliwie ominął Sołżenicyna, Twardowskiego, Jewtuszenkę. Później jednak na Sołżenicyna zrzucili staliniści odpowiedzialność niemalże za wszystkie niepowodzenia gospodarcze, socjalne, kulturalne i in.

Na plenarnym posiedzeniu pierwszy sekretarz KC Komsomołu, Pawłow skierował pod adresem Sołżenicyna oszczerstwo, że jakoby ten siedział w łagrze nie za sprawę polityczną, ale karną. Twardowski, chociaż krzyknął „nieprawda", w rzeczywistości zawahał się. Za radą Sołżenicyna zwrócił się on jednak do Wojskowego Kolegium Sądu Najwyższego, skąd otrzymał kopię sentencji o rehabilitacji Aleksandra Isajewicza. Sołżenicyn dowiedział się o tej rehabilitacji przypadkowo, w trakcie spotkania z Kolegium Wojskowym. Za niewinną (jak twierdzi Sołżenicyn) kalumnię, I sekretarz KC Komsomołu zmuszony był przeprosić. Działo się to wszystko po dopuszczeniu wniosku o Nagrodę Leninowską do tajnego głosowania. Za przyznaniem nagrody byli wszyscy „narodowościowi" członkowie, a przeciw — wszyscy „rosyjscy" pisarze (zob. A. Sołżenicyn, „Bodalsja..."). Dwie godziny przed głosowaniem „Prawda" zawyrokowała, że „Jeden dzień Iwana Denisowicza" nie jest godny wymienionej nagrody. Przed tajnym głosowaniem zobowiązano grupę partyjną wewnątrz Komitetu Leninowskiego do głosowania przeciw kandydaturze Sołżenicyna (ibid.). Skąd my to znamy?

„Już wtedy, w kwietniu 1964 roku, pogadywano, że ta historia z głosowaniem była repetycją puczu przeciw Nikicie; uda się, czy nie uda aparatowi odrzucić książkę zaaprobowaną przez Szefa [Chruszczowa — J.T.]. Przez 40 lat nigdy do tego nie nabrali śmiałości. Lecz oto ośmielili się — i udało się. To dodawało im otuchy, że i Szef nie jest silny" (op. cit.)

Twardowski bardzo przeżył klęskę „Jednego dnia...". Wszak to on czuł się odkrywcą Sołżenicyna i tej opowieści. Walczył o nią i wiedział, jak cenzura czepiała się najmniejszych głupstw, jak trzeba było ustępować, aby nie było opóźnień w druku. Pierwsza, całkowicie pozbawiona zniekształceń edycja „Jednego dnia..." została opublikowana przez wydawnictwo YMCA-Press (Paryż, 1973). Sam Sołżenicyn nie bardzo wiedział, co jest lepsze: czy nagroda, czy brak nagrody. Do plusów zaliczał „utrwalenie pozycji", ale za cenę „wiernopoddaństwa" i „wdzięczności", tzn. „niewyjmowania ze stołu do pisania niewdzięcznych rzeczy, jakimi właśnie on był, wyłącznie, zapełniony" (ibid.).

Planowana ekranizacja „Jednego dnia...", wspomniana w wywiadzie dla „Literaturnoj Rossii" z 25 stycznia 1963 r., nie doczekała się materializacji.

W 1963 roku ówczesny redaktor naczelny warszawskiej „Polityki", Mieczysław F. Rakowski podjął śmiałą decyzję: „Polityka" opublikowała „Jeden dzień Iwana Denisowicza". Utwór ten miał więc u nas dużo więcej szczęścia niż w ojczyźnie Aleksandra Sołżenicyna, gdzie wszystkie wydania (oficjalne przecież!) zostały na mocy tajnej politycznej instrukcji zniszczone w latach 1971—1972. W Polsce, o ile mi wiadomo, takiego wyroku na to dzieło nie wydano.

Opowiadanie „Zagroda Matriony" („Matrionin dwor") zawdzięcza tytuł Twardowskiemu (pierwotnie brzmiał on „Nie stoit sieło prawiednika"). Na żądanie redakcji „Nowego miru" (1963, nr 1) przesunięty został początek akcji z roku 1956 na 1953. Poza tym zmiany nie były wprowadzane. Utwór zaatakowała prasa radziecka. Jest to opowiadanie na wskroś autobiograficzne i autentyczne. Zarówno życie Matriony, jak i jej śmierć przedstawione są zgodnie z rzeczywistością (zob. A. Sołżenicyn, „Sobranije soczinienij", t. 3).

Pisane między rokiem 1958 a 1960 „Krochotki" („Drobiazgi") wiążą się z wycieczkami rowerowymi autora po środkowej części ZSRR. Kursowały w „Samizdacie" (nieoficjalne wydawnictwo działające na zasadzie „Przepisz to sam i podaj dalej, aby inni uczynili identycznie"). Część z tych tekstów usiłowało, bezskutecznie, wydrukować jesienią 1965 r. wydawnictwo „Siemja i szkoła". Pierwodruk należy do zasłużonego rosyjskiego emigracyjnego wydawnictwa „Grani" (Frankfurt nad Menem).

Opowiadanie „Prawaja kist", napisane w 1960 roku, nawiązuje do wspomnień z pobytu w dispanserze onkologicznym w Taszkiencie. W 1965 roku Sołżenicyn zaproponował utwór kilku radzieckim czasopismom. Wszystkie go odrzuciły. W konsekwencji znalazł się w „Samizdacie". Po raz pierwszy ukazał się w „Grani" (1968, nr 69).

Napisane w listopadzie 1963 roku „Zdarzenie na stacji Krieczetowka" pojawiło się w czasopiśmie „Nowyj mir" (1963, nr 1), ale fragment wydrukowała wcześniej (grudzień 1962) „Prawda". Z tego względu opowiadanie to nigdy nie było krytykowane w prasie radzieckiej, ponieważ „Prawda" nie mogła się mylić. Oryginalna nazwa stacji brzmi Koczetowka i tam też, w 1941 roku, miał miejsce opisany przypadek. Jednak pod naciskiem „Nowego miru" i „Oktiabrja" (redaktor naczelny — W. Koczetow) nazwę zmieniono. W wyżej cytowanym zbiorze A. Sołżenicyn przywrócił pierwotne brzmienie tytułu.

Warto jeszcze wymienić opowiadanie „Dla dobra sprawy" („Dla polzy dieła") oparte o prawdziwy wypadek z Riazania. Wydrukowano je w okresie prześladowania „Nowego miru" i samego Sołżenicyna („Nowyj mir", 1963, nr 7) z niedużymi wycięciami cenzury. Wywołało to potok listów od czytelników i dyskusję w prasie. Pod postacią Knorozowa kryje się A. Łarionow, który w epoce Chruszczowa, w związku z aferą z dostawami mięsa, popełnił samobójstwo. Dyrektor technikum to postać realna, a Traczikow przypomina organizatora pracy partyjnej w szkole w Riazaniu, gdzie Sołżenicyn pracował.

„Zachar Kaleta" („Zachar Kalita"), napisany jesienią 1965 roku, już w grudniu 1965 roku był przyjęty do druku w gazecie „Izwiestia" oraz oddany do składu, po czym skład został rozrzucony. Opowiadanie ukazało się w 1966 roku w czasopiśmie „Nowyj mir" (nr 1).

Utwór „Kak żal" („Jaka szkoda") powstał jesienią 1965 roku, ale został odrzucony przez kilka czasopism radzieckich. Nie kursował w „Samizdacie"; po raz pierwszy został wydrukowany w wydawnictwie YMCA-Press.

„Paschalnyj kriestnyj chod" („Paschalna procesja") napisana była w Pieriedielkinie na pierwszy dzień Paschy. Opublikowana w „Samizdacie", po raz pierwszy ukazała się oficjalnie w „Posiewie" (Frankfurt nad Menem).

(Koniec odcinka 2. — cdn.)

WYZWANIE DLA POLSKI

Dokończenie ze str. 1

przybysz z Europy Wschodniej, zanim mógłby wyjść samodzielnie na ulice Londynu czy Paryża, musiałby posiąść odpowiednie kwantum wiedzy.

Próżno by jednak szukać w naszej prasie śladów, że ktokolwiek tym się w Polsce przejmuje i stara się wypracować jakąkolwiek strategię dalszego rozwoju. Dlatego powiedzmy najpierw o krajach, które dorównują dzisiaj poziomowi cywilizacyjnemu Francji czy Holandii, a które znajdą się po roku 1992 poza zintegrowaną Wspólnotą. Te kraje to Szwajcaria, Austria oraz państwa skandynawskie, i w nowym podziale gospodarczym naszego globu stanowią one pierwszą grupę, która musi dostosować się do nowych powiązań i układów, jakie zapanują w ekonomice światowej.

Otóż główny problem tych krajów polega na tym, aby warunki ich współpracy ze zintegrowaną dwunastką nie uległy pogorszeniu. Chodzi tu o stosunki finansowe, handlowe oraz współpracę technologiczną i naukową. W tych krajach zdają sobie bowiem sprawę z tego, że minął już czas, kiedy proch wymyślano w pojedynkę. Dalszy postęp cywilizacyjny zależy dzisiaj od ścisłej współpracy, od współdziałania w ramach struktur, gdzie istnieje wolna gra sił gospodarczych i politycznych, ponieważ tylko taka gra wymusza innowacyjność i zapewnia powszechny dobrobyt.

Zdaniem obserwatorów, w Szwajcarii jest to w tej chwili problem numer jeden, o którym się wszędzie mówi i pisze. Na przykład wiele firm szwajcarskich wchodzi w kooperację z firmami „dwunastki", przeprowadza różne działania restrukturalizacyjne czy nawet dokonuje fuzji, aby tylko po roku 1992 móc działać na terytorium większym niż mała Szwajcaria. Zaś raport rządu szwajcarskiego w tej sprawie rozważa wszystkie możliwe do zastosowania przedsięwzięcia, włącznie z przystąpieniem do EWG i żadnej z tych możliwości nie uważa jeszcze za przesądzoną.

Podobne zjawiska obserwuje się w Austrii i Finlandii. Uważa się bowiem w tych krajach, że wyzwanie, jakie niesie niedaleka przyszłość, jest już dzisiaj problemem najważniejszym i od tego, jakie przygotowania poczyni się natychmiast, zależą przyszłe relacje ekonomiczne i polityczne z potężnym, zintegrowanym sąsiadem europejskim. Ten sąsiad będzie bowiem na tyle silny i samowystarczalny, że nie będzie musiał zabiegać o współpracę z kimś, kto do niej nie dorósł. Będzie również na tyle bogaty, że wszystko, co zechce, kupi w każdej części świata.

A ile jest to dla nas niebezpieczne i grozi zepchnięciem Polski na zupełne peryferie, niech świadczy wypowiedź profesora H. Wildemanna, jakiej ten wybitny zachodnioniemiecki specjalista z zakresu efektywności nowoczesnych metod produkcji udzielił Maciejowi Bałtowskiemu („Polityka — Eksport — Import", grudzień 1988). Otóż kiedy publicysta „Polityki" zapytał go, czy przemysł Europy Zachodniej obawia się konkurencji i utraty rynków na rzecz nowo uprzemysłowionych krajów rozwijających się czy państw zadłużonych, takich jak Polska, które muszą zwiększyć wysiłek eksportowy dla spłacenia długów, usłyszał, że — nie. Oto dosłowna odpowiedź profesora Wildemanna:

„Nie, o ile w latach 1970-tych obawa taka była realna i mówiło się nawet o zmierzchu gospodarczym starej Europy, o tyle obecnie gospodarka państw należących do Wspólnego Rynku ma się wyjątkowo dobrze. Współczesna produkcja przemysłowa osiągnęła taki stopień zautomatyzowania, że koszty robocizny bezpośredniej mają jedynie marginesowe znaczenie. Wymaga ona przede wszystkim olbrzymiej, stale rozwijanej wiedzy technologicznej i organizacyjnej oraz globalnej informacji rynkowej, a w tych dziedzinach zawsze byliśmy i będziemy w wąskim gronie najlepszych na świecie".

Drugą grupą krajów, które będą musiały na nowo określić swoje stosunki z nowymi potęgami gospodarczymi, są kraje rozwijające się. Obraz tej grupy jest bardzo zróżnicowany, mamy tu bowiem państwa stosunkowo zasobne i nieźle rządzone, jak np. Kostaryka, Tunezja czy Indie; państwa bardzo biedne, skorumpowane i rządzone fatalnie, jak Laos, Libia czy Mauretania; a wreszcie państwa rozdzierane przez wojny i konflikty wewnętrzne, jak Czad i Etiopia, które w ogóle nie mogłyby egzystować bez doraźnej pomocy żywnościowej z zewnątrz.

Jest wreszcie tutaj grupa państw naftowych, ale ich znaczenie, po pamiętnym „szoku naftowym", wydatnie zmalało i nie odgrywają już one takiej roli, jak w latach siedemdziesiątych. Po prostu nośników energii i surowców jest dzisiaj w świecie pod dostatkiem, a ich rola z roku na rok maleje, gdyż kraje rozwinięte zmierzają wyraźnie w kierunku cywilizacji postindustrialnej. Ale to właśnie w tej grupie krajów, krajów rozwijających się, ujawniło się kilka państw tzw. nowo uprzemysłowionych na Dalekim Wschodzie i w Ameryce Łacińskiej. Chociaż specjaliści przestrzegają, że powtórzenie ich sukcesu na taką skalę będzie już niemożliwe, to jednak Korea Południowa czy Tajwan stanowią, jak pisze Jerzy Kleen, „jedyny przykład skutecznego wychodzenia z zaklętego kręgu zacofania. Doświadczenie innego eksperymentu, jaki próbowano zrealizować w krajach o tzw. orientacji socjalistycznej, nie dało jak dotąd, pozytywnych wyników".

Pojawienie się tych krajów, a raczej ich nagłe wyłonienie się z gospodarczego niebytu, pogłębiło i tak trudną sytuacją państw socjalistycznych, które od paru lat przeżywają poważne kłopoty ekonomiczne i kryzysy strukturalne. Po prostu stało się to, co było nieuniknione: państwa nowo uprzemysłowione wypierają kraje RWPG z rynku zachodnioeuropejskiego i amerykańskiego, ponieważ ich produkty są tańsze, a zarazem bardziej nowoczesne i niezawodne, nie mówiąc już o tym, że wielu przedmiotów, jakie fabrykują tzw. małe tygrysy, w państwach socjalistycznych nie umie się dotąd samodzielnie wytwarzać. Chodzi tu nie tylko o elektronikę wyższego rzędu, jak komputery, ale wytwory tak już dzisiaj proste, jak kolorowe telewizory czy samochody.

TOTEŻ trzecia grupa krajów, kraje socjalistyczne, stoją w związku z niedaleką integracją Europy Zachodniej przed bardzo poważnymi problemami. Przede wszystkim obserwatorzy zwracają od paru lat uwagę, że państwa RWPG stały się nową grupą krajów zacofanych, tyle że na średnim poziomie. Nie będę roztrząsał, czy teza ta znajduje pokrycie w faktach i tendencjach rozwojowych. Warto jednak zapoznać się z argumentami, które są w związku z tym upowszechniane w Europie.

Tak, na przykład, zwraca się uwagę, że w latach 1981—1987 zadłużenie krajów Europy Wschodniej, wzrastało szybciej niż krajów rozwijających się. Miernikiem, który stosuje się powszechnie w tego rodzaju obliczeniach, jest stosunek kwoty zadłużenia do wartości rocznego eksportu. W krajach socjalistycznych ten stosunek wynosi 2:1, podczas gdy w krajach tzw. trzeciego świata tylko 1,7:1. I ta relacja w dalszym ciągu się pogarsza, co oznacza, że kraje RWPG nie potrafiły przez lata wypracować żadnej rozsądnej i skutecznej strategii, zmierzającej do zmniejszenia zadłużenia.

Po drugie — po roku 1981 nie obserwuje się postępu w poziomie powszechnego dobrobytu w tych krajach. W jednych mamy do czynienia ze stagnacją, jak NRD i Czechosłowacja, w innych z nieznacznym obniżeniem stopy życiowej, jak na Węgrzech i w ZSRR, w innych zaś, jak w Polsce i Rumunii, odnotowuje się gwałtowną pauperyzację szerokich warstw społecznych.

Po trzecie — pogorszyła się pozycja państw socjalistycznych w handlu światowym, co wiąże się naturalnie z miejscem tych krajów w światowym systemie podziału pracy.

Wreszcie, po czwarte, należy zwrócić uwagę na widoczne gołym okiem pogarszanie się sytuacji ekologicznej w państwach RWPG. Dowodzi to nie tylko braku umiejętności rozwiązywania pewnych problemów technologicznych o własnych siłach. W krajach Europy Zachodniej powiada się wręcz o przestarzałej, zacofanej mentalności gospodarczej, która stanowi nawet zagrożenie dla świata. Ten wyjątek tylko sygnalizuję, wart jest on osobnego potraktowania.

Co więcej: w ostatnich latach, miast tendencji integracyjnych, nasilają się w obrębie RWPG dążenia dezintegracyjne. „Wspólnota socjalistyczna" okazała się nie być wspólnotą, przynajmniej gospodarczą, i wówczas, kiedy poszczególnym krajom zaczęła zaglądać w oczy bieda, tym rychlej poczęły spoglądać w kierunku Zachodu. Ale dopiero dzisiaj możemy pisać o tym otwarcie, tak jak dopiero niedawno powiedziano, że RWPG nigdy w zasadzie nie miała spójnej polityki integracyjnej.

CO zatem możemy zrobić sami dla siebie, skoro socjalistyczna Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej okazała się fasadą, a więc organizmem niezdolnym do sprostania wyzwaniu, jakie niesie dzisiejszy świat? Co powinniśmy uczynić, aby opuścić zaklęty krąg zacofania i zacząć wspinać się, chociażby pomalutku, ku górze?

Niektórzy twierdzą, że powinniśmy pójść w ślady Korei Południowej, której eksport w ciągu ostatnich 25 lat wzrósł 860 razy (tak!) i wynosi obecnie 50 miliardów dolarów rocznie. Zwolennicy tej koncepcji szermują hasłem „rynek i silna policja", zapomiając, że Korea rozpoczynała swoją wspinaczkę w latach sześćdziesiątych, kiedy sytuacja na świecie była diametralnie różna. Była to jeszcze epoka stosunkowo prostych technologii oraz znacznego udziału pracy żywej, dlatego kraje, które miały duże zasoby taniej siły roboczej, mogły rekompensować braki uzbrojenia technicznego. Dzisiaj nowoczesna technika jest nie tylko bardzo kosztowna jednorazowo (patrz np. przemysł samochodowy, którego nie jesteśmy w stanie odbudować o własnych siłach), ale wymaga nieustannego dopływu coraz to nowych technologii i materiałów, których nie umiemy w kraju wprodukować.

Cóż można rzec o naszej, polskiej kompetencji technologicznej, skoro nie potrafimy wytapiać pewnych rodzajów stali, a za granicę sprzedajemy surową miedź? Cóż można rzec o naszej umiejętności rachowania, skoro sprzedajemy za granicę surowe deski? Dopóki więc nie będziemy umieli rozwiązywać problemów podstawowych, trudno nam myśleć o nawiązaniu cywilizacyjnego kontaktu z przodującymi krajami. Natomiast sprzedawanie surowców i drewna za bezcen to nic innego, jak ograbianie kraju.

JEDYNYM wyjściem byłby zatem rozwój tych przemysłów, w których sposoby produkcji znane są od dziesięcioleci, a które opanowane mamy nie najgorzej: przemysł spożywczy, meblarski, tekstylny, wytwarzanie wagonów kolejowych czy rowerów. Jeżeli będą to produkty na dobrym poziomie, sprzedamy je w każdej ilości do krajów socjalistycznych i rozwijających się. Zresztą ogromnym rynkiem zbytu jest nasz kraj i przez wiele lat produkowanie dla krajowego odbiorcy będzie się opłacało. Natomiast olbrzymie rezerwy proste, które mogą być uruchomione natychmiast, od razu — wystarczy tylko „nie przeszkadzać" — to budownictwo mieszkaniowe i rolnictwo.

Upór poprzednich rządów, niekompetencja, a nawet zwykła głupota spowodowała, że świat szedł do przodu, a my cofaliśmy się przy bębnach i piszczałkach, które wygrywały hymn na cześć najlepszego ustroju na świecie. A jednak... jednak ostatnie strajki chłopskie dowodzą, że tej nauki było jeszcze za mało. Czy będziemy czekać, aż prawdziwy głód zajrzy nam w oczy? Jest to groźba realna, jeżeli polityka wobec wsi nie ulegnie gruntownej zmianie.

Być może, kiedy uświadomimy sobie, jak ogromny dystans cywilizacyjny dzieli nas od światowej czołówki, weźmiemy się — skromnie, cicho i ze zrozumieniem swojego położenia — do rozwiązywania spraw najprostszych i najprostszymi metodami, które znamy od setek i dziesiątków lat. Przecież metody hodowania świń znane są w Polsce od stuleci, a mięsa ciągle brakuje. Każdy polski chłop wie, jak wyhodować świnię, dlaczego więc nie każdy ją hoduje?

To nie jest błahy problem, to jest ważny problem rządowy, bo od sposobów odżywiania się zależą losy narodów.

Jest to, co prawda, francuski punkt widzenia. Ale sądząc na podstawie tego, jak żyją Francuzi i jak prosperuje ich Republika — nie jest to widzenie najgorsze.

Andrzej W. Pawulczuk

DO Kazimierza przyjechałam w piątkowy wieczór, 14 kwietnia. Dwa dni temu rozpoczęły się tutaj międzynarodowe warsztaty twórcze „Art Meeting" z udziałem ponad czterdziestu młodych artystów z Polski, Szwajcarii, Austrii, Holandii, Finlandii, Szwecji, Wielkiej Brytanii, Irlandii i Węgier. Na płocie, w pobliżu przystanku PKS, wisiał plakat informujący, że wieczorem w galerii „Dzwonnica" odbędzie się spotkanie warsztatowe „Art Meetingu". Do galerii przyszłam chwilę po rozpoczęciu performance'u Pawła Aby-Kwaśniewskiego. Wielu ludzi stało na zewnątrz, zaglądając do wnętrza przez otwarte drzwi. Przy wejściu minęło mnie parę wychodzących z galerii osób. Jedna z kobiet powiedziała: „Idźmy stąd. Nie mogę na to patrzeć".

Na środku pomieszczenia — przed stołem, na którym leżały zwłoki odartego z piór kurczęcia — stał artysta. Był akurat w trakcie smarowania kurczaka farbą, a następnie poobtaczał go w pierzu. Wreszcie podniósł drób za skrzydła i parę chwil poruszał nim, udając, że drób leci. Ponownie położył go na stole, przebił na wylot metalowym prętem i ponownie podniósł na wysokość ramion, tarmosząc za skrzydła tak, że pręt przeszedłszy przez całe ciało, upadł na podłogę. Hałas spadającego metalu był jedynym w tym momencie dźwiękiem, jaki dał się słyszeć w sali nabitej widzami. Artysta, nadal trzymając kurczaka na wprost swojej twarzy, rozerwał go. Wyrwane skrzydełka poleciały w stronę widzów. Napięcie opadło. Rozległy się brawa.

Zaproszono publiczność na ciąg dalszy wieczoru na piętro. Rozpoczęła się prezentacja twórczości Marcina Berdyszaka, ubiegłorocznego absolwenta poznańskiej PWSSP, młodego kontynuatora tradycji artystycznych rodziny Berdyszaków. W warsztach brał udział również i ojciec — już klasyk sztuki współczesnej, Jan Berdyszak. Podczas prezentacji przeźroczy usłyszałam za sobą pytanie: „No tak, ale po co on to robi?" Odpowiedzi na to pytanie nie dała również rozdawana po pokazie kartka, na której artysta wypisał swoje credo artystyczne, utrzymane w poetyce intelektualnego bełkotu: „Czy możliwe jest istnienie innych oczywistości danej wartości w różnych obszarach, czy też oczywistość ta się nie zmienia, lecz nagle pojawia się jej specyficzna **żadność**, przynależna tylko i wyłącznie jej w konkretnym obszarze niczego?".

Przed południem następnego dnia, siedząc na Rynku i czekając na pomysłodawcę całego zamieszania — Dariusza Lipskiego, mogłam do woli kontemplować dzieła powstałe na Rynku. Stała tam już praca Austriaczki Sabine Bitter: szpula, przez którą jakby przetaczały się kamienie. Dalej stała ścianka drewnianego domku z okienkiem, przez które przełożono kajak — nieukończona jeszcze praca Ingrid Rollema i Lexa Wechgelaara z Holandii.

Z Dariuszem Lipskim udaliśmy się do Galerii Letniej (w Muzeum Złotnictwa), pełniącej rolę centrum twórczego Art Meetingu. Przy pracy nad wielkim płótnem zastaliśmy Iana Hughesa ze Szkocji, o którym można powiedzieć, że był gościem specjalnym warsztatów. Wyłączność na tego artystę ma galeria „Raab" z filiami w Londynie i Berlinie Zachodnim. Na każdym kroku dowiaduję się, że to wielki zaszczyt i wielkie szczęście, że galeria zgodziła się na jego przyjazd do Polski. A właściwie jeszcze inaczej: galeria pozwoliła mu „zawalić" tegoroczny plan wyjazdów, żeby tylko przyjechał do Polski. Te słowa rozmówcy podkreślają z dumą. „Ty wiesz, ile kosztuje jeden jego obraz?!" — mówią z podziwem i zazdrością.

Lipski opowiedział krótko, jaka droga wiodła od pytania zadanego sobie we wrześniu ubiegłego roku: „A czemu u nas nie można zorganizować artystycznych warsztatów z międzynarodową obsadą?", aż do obecnego finału. Mówi o tym, jak pomysł zaakceptowali i zgłosili swoją pomoc w realizacji przyjaciele artyści: Janusz Błachowicz, Rafał Kostrzewa i Sławomir Marzec. O tym, jak wspaniale zareagowano na pomysł tutaj, w Kazimierzu, w Muzeum Nadwiślańskim, szczególne zasługi przypisując jego pracownikom — Mariannie i Waldemarowi Odorowskim. Podział pracy dokonał się samoczynnie. Organizatorzy — artyści zajęli się sprawami merytorycznymi. Pracownicy muzeum podjęli się spraw związanych z organizacją.

DRUGĄ RĘKĄ WYJMOWAŁ Z KIESZENI RYBY I RZUCAŁ JE NA PŁÓTNO

CUDOWNE DZIWACTWA POD ŚWIĘTYM KRZYSZTOFEM

Violetta Krasnowska

Wyszłam z galerii, by obejrzeć inne prace zrealizowane w plenerze. Na skwerku, niedaleko poczty, stała już praca Sławomira Marca, absolwenta warszawskiej ASP. Wczorajszego wieczoru nie zauważyłam jej, mimo że przechodziłam o parę kroków: trzy pale drewniane, związane w połowie. Na złączu kamień.

Na Rynku spotkałam Waldemara Odorowskiego. Mówił, że najbardziej zależało im, żeby pokazać sztukę współczesną kazimierzanom i sprawdzić, czy sztuka taka przyjmie się w Kazimierzu. Na razie spotyka się z dużą życzliwością mieszkańców. «Widać to szczególnie, gdy trzeba pożyczyć od kogoś materiały potrzebne artystom. Od niego dowiedziałam się także o sponsorach Art Meetingu. Pomoc w sfinansowaniu zgłosiło Ministerstwo Kultury i Sztuki, warszawska Alma-Art i PAX. Pieniędzy jednak jest niewiele.

Obok nas przechodzą Ingrid Rollema i Lex Wechgelaar, ciągnąc za sobą wózek z kilkoma kajakami. Odorowski zaczyna się śmiać. „Inwazja kajaków — powiada. — Zamówili ich kilkanaście!" Jeden kajak twórcy chcą zawiesić na drzewie. Pomagają im w tym uczestnicy warsztatów. Sami artyści stoją wśród gromady ciekawskich i kierują pracą. Parę godzin później o kajaku na drzewie mówi się w całym Kazimierzu: w kawiarni, przy restauracyjnych stolikach, na ulicy. Żadna praca nie wzbudziła takiego zainteresowania.

W tym samym czasie w Galerii Letniej pracuje Ryszard Winiarski, prorektor ASP. Ma to być kompozycja z cegieł w kształcie krzyża greckiego. I jemu pomagają bezrobotni akurat uczestnicy. Praca ciężka, ale zagrzewa ich obiecany przez mistrza koniak. We wnętrzu każdego ramienia palą się znicze. Wysokość ścian ma być równa wysokości dymu. Ukończone dzieło ma tytuł „Geometria i medytacja". „A koniaku nie postawił" — mówią rozżaleni robotnicy. Obok, na wprost kilku pni drzewa, siedzi wpatrzony w nie Janusz Ługowski. Pytam go, co widzi interesującego w tym drewnie. „Widzisz — mówi — zacząłem pracować w kamieniołomach. Znalazłem piękne miejsce. Miejsce okazało się być własnością prywatną, właściciel stwarza trudności, nie pozwala mi pracować. A te kawałki znalazłem na zapleczu. Zobacz, z jednego wyrasta mała, zielona gałązka. Coś z tym chciałbym zrobić. Teraz myślę, jak?"

Zostawiam zamyślonego artystę i wracam na Rynek. Spotykam tam Pawła Aby-Kwaśniewskiego. Podczas rozmowy pytam o wczorajszy performance. Nosi tytuł „Pieśń o zmartwychwstaniu". Śmieje się i mówi: „Przecież udowodniłem, że Boga nie ma, bo gdyby był, to kurczak by ożył". Paweł Kwaśniewski jest psychologiem, absolwentem ATK. Opowiada mi o swoim wstąpieniu w sztukę. Do ławki, na której siedzmy, podchodzi Rafał Kostrzewa. Skarży się na ciężki los artysty: „Wszyscy chcą tutaj artyście stawiać i nie ma mowy o odmowie".

Dni Art Meetingu najcięższe są chyba dla Odorowskich. Wszystko jest właściwie wielką improwizacją, bo jak może być inaczej, skoro komuś nagle potrzeba nowego płótna, ktoś inny chce zrobić nową, nieplanowaną kompozycję z drewna, komuś zaginęły przeźrocza, a w ogóle — to gdzie jest piła?

Czwarty wieczór w „Dzwonnicy" otwiera Waldemar Petryk, pracownik Wydziału Artystycznego toruńskiego uniwersytetu, performancem pt. „24 odcinek heavy metalowej opery »Love« zatytułowany »Spotkanie Tristana i Izoldy«". W galerii znowu tłumy. Co bardziej obyci z tego typu działaniami zajmują najlepsze, strategiczne miejsca. Chowają się po kątach. „Tu nic nie doleci, jakby miało lecieć" — słyszę. Petrykowi pomagają inni uczestnicy warsztatów Jeden z pomocników pracuje przy pompce samochodowej z trąbką, inny kręci w odwrotną stronę syreną alarmową. Główny wykonawca piłuje na małe kawałki gałązki. Ktoś rozdaje je widzom, prosząc szeptem, by przekazywali je innym. Trwa to dość długo. Nagle ze szczytu schodów słychać krzyk. Ingrid Rollema przedziera się przez tłum stojący na schodach i rzuca się w ramiona Waldemarowi Petrykowi. Syrena zaczyna ryczeć, pompka pracuje. Kakofonia dźwięków. Tristan i Izolda spotkali się. Wielki finał. Ogromne brawa. Prośby o bis.

Na piętrze galerii prezentował swoją twórczość Sean Taylor z Irlandii. Pokazywał Belfast (w którym ukończył uczelnię artystyczną) jako miasto wojny IRA z wojskami brytyjskimi, co uwidacznia się między innymi w malarstwie na murach domów. Pokazywał swoje prace, które są bezpośrednią reakcją na działania polityczne i terrorystyczne, z jakimi spotkał się w samym Belfaście lub o których czytał. Duże znaczenie w swoich pracach przywiązuje do roli gazet jako środka propagandowego. Okleja nimi swoje prace. Inne prace to najczęściej fragmenty karoserii, którym nadaje „wygląd eksplodujący". To samochody-pułapki.

Swoje prace wykonane od czerwca 85 roku, prezentuje Jan Berdyszak. Po nim Toin Horvers z Holandii, na parterze galerii, daje pokaz filozofii gry na bębnie. Następnie zaprezentuje film ze swoimi ruchomymi, dźwiękowymi rzeźbami.

W niedzielny ranek pojawiło się na Rynku nowe dzieło. Białe ślady stóp prowadzą przez cały Rynek pod kamienicę św. Krzysztofa, gdzie ustawiono biały kamień, przed którym stoją odlane z gipsu nogi (od kolan w dół). Ogólna konsternacja, bo nikt nie wie, kto jest autorem tej pracy. Tajemnicę wyjaśnił Waldemar Odorowski. Jest to działanie grupki młodzieży jednego z warszawskich liceów, która przyjechała do Kazimierza na weekend i właśnie w ten sposób postanowiła zamanifestować swoją obecność. Jest to ich własna reakcja na Art Meeting. W Galerii Letniej stoi też nowa praca. Tam, gdzie stały pnie drzew, stoi teraz piękna łódź wypełniona miałem węglowym. Dwa pnie to dzioby, boki utworzone są z liny. Sam autor, Janusz Ługowski, przyznał, że wcale nie o taki efekt mu chodziło. Forma łodzi powstała przypadkowo. Oglądającym to nie przeszkadza i bardzo się podoba.

Na Rynku Paweł Aby-Kwaśniewski maluje — jak sam mówi — swój drugi obraz w życiu. Zainteresowanie jego pracą jest tak duże, że nawet dzieci rezygnują z pójścia na lizaki i nie dają odciągnąć się od artysty. Wycieczka Wietnamczyków okazuje swoje zadowolenie, cmokając z zachwytu.

Musiałam opuścić Kazimierz, by przybyć tam ponownie następnego dnia wieczorem. Trafiłam akurat na instalowanie pracy Michała Adamczyka, pracownika ASP. Ogromna folia pokryta czerwonymi „mazgami", obciągnięta na metalowej konstrukcji, powoli unosiła się z ziemi ku górze. Było zimno, więc i zainteresowanych mniej. Po zabezpieczeniu całej konstrukcji przeszliśmy do „Dzwonnicy", gdzie prezentował swoje prace Harvey Hood z Walii. Ciekawa była np. jego trójwymiarowa kopia obrazu Matisse'a, wykonana na zamówienie Tate Galery i mechaniczna, ruchoma kopia dzieła Marcela Duchampa. Na koniec swojego wystąpienia artysta rozdał między widzów małe rzeźby stanowiące syntezę tej sztuki. Były na nich punkty oznaczające myśl, rękę, cel i materiał.

Z kolei Ingrid Rollema opowiadała o swojej filozofii sztuki nomadycznej, a Lex Wechgelaar mówił o swoich pomysłach, bo one są esencją jego twórczości. Zainteresowały zebranych np. pomysły wielopiętrowych domów dla drzew z systemem nawadniania lub cmentarzysko liter. Następnie zaproszono widzów na parter, gdzie tradycyjnie już odbył się performance. Paweł Aby-Kwaśniewski zaprezentował tym razem działanie zatytułowane „Ballada celtycka". Rozłożył najpierw kawałek białego płótna. W jednej ręce trzymał zwitek papieru, który, zapalony, zaczął strzelać, a drugą ręką wyjmował z kieszeni ryby i rzucał je na płótno. Po tej akcji zaprosił małą grupkę osób ponownie na piętro, gdzie zaprezentował film ukazujący kilka jego wcześniejszych performance'ów.

Następnego dnia w kawiarni usłyszałam dziwną rozmowę. „To co, ścigamy się?" — pyta Kwaśniewski Adamczyka. „O czym wy mówicie?" — pytam. „Jak to, to ty nie widzisz, przecież tu się wszyscy ścigają. Oprócz nas. Kto lepszy, kto więcej zrobi, jak się zaprezentuje, katalogi rozdają, adresy wymieniają, a nuż ktoś zaprosi".

Po południu zaprosił na swoje działanie w kamieniołomach Marcin Berdyszak. Na środku ściany, na niewielkim występie biegnącym w poprzek zbocza, odcinają się kolorem od tła niebieskie worki. Artysta podchodzi do każdego z nich i wysypuje ziemię, która smugami spływa na dalszą część zbocza. Ładne smugi powstały jedynie przy trzech pierwszych workach.

Na Rynku spotkałam Henryka Lipp-Nowickiego, który przybył tu wraz z grupą Szwedów. Ze wszystkich miejsc najbardziej przypadły im do gustu ruiny zamku i tam przygotowują się do wystąpienia. Akurat tego dnia na Rynku odbywa się targ. Przyszedł więc, by zebrać trochę potrzebnego materiału. Nagle podbiega do człowieka sprzątającego końskie odchody, krzycząc: „On mi zabiera materiał!"

W Galerii Letniej robi się coraz ciaśniej. Po stronie malarzy obrazów przybywa i w pozostałych częściach galerii nie jest lepiej. Tuż obok pracy Taylora tworzy Hood. Taylor wraz z Hughesem pojechali na Majdanek. Z okienka dzwonnicy fary wystaje kolejny kajak. „Co myśmy z tym mieli — wspomina Waldemar Odorowski — musieliśmy zapewnić księdza, że nic się nie zniszczy. Mówiliśmy nawet o skonstruowaniu specjalnej machiny, która wciągnie kajak na górę". Na Rynku pojawia się stary, czerwony wóz strażacki, przyozdobiony kazimierskimi wypiekami, a na rogach — tabliczki z napisem „Plac Cudów". To wszystko wykonał bardzo pracowity duet Ingrid Rollema i Lex Wechgelaar.

Wieczorem wszyscy ruszyli w kierunku zamku. Ognisko już się paliło. Zostaliśmy zaproszeni do niewielkiej salki, gdzie Leif Elggren i Kent Tankred wykonali utwór zatytułowany „Gorączka". Był to koncert na metalowe płytki i kamienną posadzkę. Artyści mieli na plecach metalowe płytki podłączone do głośników. Położyli się na plecach i pocierali płytkami o posadzkę. Z głośników dobywał się odgłos rysowania szkłem czy metalem po kamieniu.

Po zakończeniu akcji z głośników popłynęła inna muzyka. Ona rozpoczynała działanie grupy „Phausse" w składzie: C.M. von Haussvolf, Henryk Lipp-Nowicki i Erik Pauser. Było to najdłuższe, bo trwające parę godzin, działanie artystyczne. Zatytułowali je „Polska 11.04—18.04.1989". Po wysłuchaniu jednego utworu zapalono światło. Zebranym ukazał się nagle ogromny, nakryty białym obrusem stół, na którym leżały bochny chleba, góra soli, jabłka, orzechy włoskie i laskowe, pestki z dyni. Oczywiście wniesiono i barana. Za stołem stał zaś barman z butelką wódki. Nad stołem wisiały białe obrusy posmarowane krwią barana. Prawdziwa uczta barbarzyńców. Zadowoleni uczestnicy stwierdzili, że „znowu Szwedzi zdobyli zamek".

Następnego dnia — kolejne zmiany w dziełach. U Taylora na wieży, która jest kopią wież strażniczych ustawionych na granicy Irlandii Północnej leżą teraz ziemniaki. To reminiscencja z Majdanka — komentuje Janusz Błachowicz i mówi: „Ian kupił książkę o Majdanku i tam wyczytał, że więźniowie musieli pracować na polach ziemniaczanych. Ja nie wiem, dlaczego akurat to tak go poruszyło?"

Następnego dnia można wyczytać na plakatach: „«14.30 — Zamknięcie akcji «Miejsce szczególne»". Za główną ścianą kamieniołomów jest mała polanka. Właśnie tutaj odbędzie się akcja Ługowskiego. Na miejscu jest już ekipa z Centrum Sztuki Współczesnej z Warszawy, dokumentująca Art Meeting. Po jednej stronie ściana, po drugiej lasek. Na zaoranym kawałku ziemi leżą trzy duże, białe kamienie. Na wprost dwu zewnętrznych złożono wiązki gałęzi. Miejsce środkowe jest puste. Od niego ciągnie się linka aż do środka ściany, gdzie wymalowany jest czarny prostokąt. Ługowski z wiaderkiem wchodzi na zaoraną ziemię. Cichna rozmowy. Na pustym, środkowym miejscu wykłada z wiadra popiół, następnie zapala go. Popiół pali się mocnym płomieniem, artysta odchodzi. Milczenie trwa nadal. Wszyscy czekają, kiedy zgaśnie. Każdy uważa, by nie stanąć na zaoranej ziemi.

Wracając do Kazimierza odwiedzam Muzeum Przyrodnicze, gdzie znajdują się prace innych artystów. Płótna Moniki Kulickiej z odciśniętymi liśćmi, roślinami. Praca Jana Berdyszaka znajduje się przy ścianie. Jest to czarna belka, w paru miejscach poprzecinana, a w miejsca przecięć włożono szkło. Najwięcej miejsca zajmuje praca Dariusza Lipskiego. Duże wiązki gałęzi uwieszone u powały, a obok nich, na ziemi, leżą kupki zboża. Nigdzie nie mogę znaleźć pracy Jo Achermanna. Wychodzę na zewnątrz, by otrzymać informacje u samego twórcy. Jego pracą okazała się wystająca z okna długa, ostrugana żerdź. Odwiedzam również Plebankę i oglądam pracę Jaakko Permu i Sari Torvinen. W poprzek wąwozu zbudowali z gałęzi wielkie koło.

Ostatni dzień Art Meetingu. Artyści polscy są ze wszystkiego zadowoleni. Inaczej jest z artystami zagranicznymi. Harvey Hood wyraża zdziwienie, że tutaj artyści rzeczywiście pracowali. Na Zachodzie warsztaty to raczej spotkania towarzyskie. Ian Hughes sam pomysł uważa za bardzo dobry, właśnie spotkania artystów w kontekście wschód — zachód. Sean Taylor uważa, że zbyt dużą uwagę zwraca się u nas na stronę konceptualną dzieła. Wszystko jest przeintelektualizowane. A to — jego zdaniem — prowadzi do stagnacji. „Niektóre prace są bez serca, bez ikry — mówi. — Moje prace są bardzo emocjonalne. Najbardziej podobał mi się Zbigniew Warpechowski, który rzucił wyzwanie do dialogu postaw wschodu i zachodu. Był to jedyny człowiek, który nie uległ sile przeintelektualizowania. Większość artystów jest opanowana przez swoje głowy".

20 kwietnia o godzinie 18.30 uroczyście zamknięto międzynarodowe warsztaty twórcze „Art Meeting". W Galerii Letniej stoi już ukończona praca Hooda zatytułowana „Niedopogodzenia". Sam autor tak tłumaczy sens tytułu: „Takie jest moje przyjęcie Polski. To kraj, gdzie są ciekawi artyści, z którymi można fajnie porozmawiać o sztuce, a z drugiej strony braki podstawowych produktów. To zadziwiające". Pytam Taylora o jego drugą pracę. „Powstała od razu po moim powrocie z Majdanka — mówi — i inspirowana jest wyłącznie Majdankiem. Ten obóz bardzo na nas, na mnie i na Iana, wpłynął. Zapewne będzie to miało wpływ na naszą dalszą twórczość, ale jaki, to jeszcze trudno powiedzieć. Bardziej podoba mi się właśnie ta praca".

W galerii spotykam także dyrektora Muzeum Nadwiślańskiego — Jerzego Żurawskiego. Z aprobatą wyraża się o tej imprezie. Zauważa, że przychodziła młodzież, której do tej pory nie można było siłą zaciągnąć do galerii. Pytam o dalszy los prac. „Z Rynku trzeba będzie te obiekty uprzątnąć. Z galerii też, bo przygotowywana będzie niedługo wystawa prac Zenona Kononowicza". Nagle naszą rozmowę przerywa muzyka jazzowa. Do galerii przybyli z pobliskiej miejscowości jazzmani, wśród których jest Wojciech Nalepa.

OBYWATELKA ŚWIATA CUDZOZIEMKA ZIEMI WYBRANEJ

Waldemar Piasecki

JEST 18 maja 1989 roku. Kazimierz nad Wisłą. Dom Marii Kuncewiczowej. Mówi rektor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, profesor Zdzisław Cackowski: „Tak niedaleko z Lublina do Kazimierza, tak blisko z Kazimierza do Lublina. Wydaje mi się, że za długo szliśmy do Pani z naszym darem, z naszym znakiem podziwu, uznania i wdzięczności. Ale wreszcie doszliśmy".

Rektor wie, co mówi. Uroczystość uhonorowania najwybitniejszej z żyjących przedstawicieli literatury polskiej jest spóźniona. Doktorat honorowy przychodzi, gdy pisarka dobiega dziewięćdziesiątego roku życia, które — jak wzruszająco powie zebranym — przeciągnęło się ponad wszelką miarę i spodziewanie. I ma to wymiar nie tylko mądrej i zdystansowanej kokieterii, ale przede wszystkim uświadamia, iż łatwiej było Marii Kuncewiczowej o godności akademickie, splendory, uznanie — TAM, niż — TU. Przez osiem lat (1963—1971) mogła być profesorem Uniwersytetu Chicagowskiego, gdzie — jak wspominała — „tak trudno było Polakowi przykuć uwagę amerykańskiego słuchacza do dramatu — kultury polskiej", nie była natomiast profesorem żadnego z dwóch uniwersytetów odległych o czterdzieści kilometrów od jej gniazda rodzinnego i „jedynego stałego miejsca na Ziemi" — Kazimierza. Co dla mnie — z kolei — jest elementem dramatu. Kultury polskiej. Również wizyta głowy państwa, wyprzedzająca o dwa dni uroczystość wręczenia doktoratu, tak — wedle słów pisarki — „niespodziewana i onieśmielająca", była wizytą spóźnioną. I taką refleksję doprawdy trudno od siebie oddalić.

Nie jestem krytykiem literackim, nie będę oceniał dorobku literackiego Marii Kuncewiczowej. Zrobili to inni. Jeżeli jednak miałbym na cokolwiek zwrócić uwagę w jej postaci, to na uderzającą harmonię wielkości: humanisty, artysty i obywatela. Osiągnięte w tych obszarach standardy stawiają Marię Kuncewiczową w gronie czołówki humanistycznej i intelektualnej naszego stulecia.

Rozwój wspomnianych standardów wsparty był na rodzinnej tradycji patriotyczno-humanistycznej W Nancy studiowała filologię francuską, w Warszawie i Krakowie — filologię polską, wokalistykę w konserwatoriach Warszawy i Paryża. W 1924 roku, w wieku dwudziestu pięciu lat podjęła pracę w polskim oddziale PEN Clubu oraz reportera literackiego prasy stołecznej. Szybko ujawniła swoje talenty pisarskie, temperament i wrażliwość społeczną, popartą darem wnikliwej analizy psychologicznej. W 1926 roku zadebiutowała opowiadaniem-esejem „Przymierze z dzieckiem", w którym sformułowała swoje credo psychologii macierzyństwa. Jej zdaniem, formowanie kategorii m a t k i jest zawsze poważnym udziałem dziecka, które kształtuje ją psychicznie i dopełnia biologiczny akt macierzyństwa. Obecność dziecka wychowuje niejako kobietę do roli matki. Młoda autorka pokazała ten proces jako pełen napięć psychicznych, pogmatwany, trudny, dramatyczny i niekiedy drastyczny. Taki obraz macierzyństwa był w naszej literaturze czymś oryginalnym, nowym i nie wolnym od kontrowersyjności ocen.

Drugą próbą penetracji duszy kobiecej i formułowania własnej interpretacji praw psychologii kobiety była „Twarz mężczyzny" (1928). Maria Kuncewiczowa nie zawahała się jasno wyrazić poglądu, że świat samorealizacji kobiet i budowania ich tożsamości jest światem określanym obecnością mężczyzn i niejako dziejącym się „przez" mężczyzn. Nie jest to jednak świat bezpieczny psychologicznie ze względu na napięcia, wewnętrzne konflikty, opory; niekiedy wręcz niszczący.

„Przymierze z dzieckiem" i „Twarz mężczyzny" były ważnymi etapami zbliżającymi pisarkę do pełni wypowiedzi filozoficznej i estetycznej na temat natury kobiecej, jaką przyniosła „Cudzoziemka", pisana w latach 1935—36, i która od razu stała się literackim bestsellerem. W planie fabularnym powieść była zapisem wydarzeń jednego dnia głównej bohaterki rozbitych ciągami retrospekcji o potężnym ładunku emocjonalnym. Słowo „rozbitych", a nie — powiedzmy — poprzeplatanych wydaje się trafniejsze. Teraźniejszość jest bowiem z przeszłością zantagonizowana i przegrywa z nią. Przeszłość determinuje dzień dzisiejszy, uwikłując bohaterkę w piekło szamotaniny i niespełnienia niszczących jej życie rodzinne. Kuncewiczowa okazuje się mistrzynią psychoanalizy, tworząc dzieło głęboko przekonywające, kreujące kobietę nie tylko jako byt egzystujący pomiędzy marzeniem i rzeczywistością, ale także ponoszący pełne konsekwencje dysharmonii pomiędzy nimi. Drukowi w odcinkach „Cudzoziemki" towarzyszyły niebywałe emocje. Czytelnicy (-czki) identyfikowali się z tytułową bohaterką, a autorka otrzymywała setki listów.

Kiedy w Kazimierzu rozmawiałem z synem pisarki Witoldem, żołnierzem Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a dziś biznesmenem ze stanu Virginia, zwrócił mi uwagę na inne okoliczności zbieżne czasowo z drukiem „Cudzoziemki", a doskonale charakteryzujące jej postawę określoną w laudacji prof. Ludorowskiego jako „walkę o prawa człowieka, o prawo obywatelstwa światowego dla osób wypędzonych, deportowanych, wychodźców, wygnańców, dla ludzi pozbawionych ojczyzny i państwa". 1936 rok był okresem, gdy do Polski zaczęli napływać Żydzi niemieccy, wypędzeni represyjnym ustawodawstwem, ruiną ekonomiczną czy wreszcie terrorem indywidualnym i bezpośrednim zagrożeniem życia. Przybywali ograbieni, często tak, jak stali, bez środków do życia, z dobytkiem mieszczącym się w jednej walizce.

„Wszyscy ludzie w moich powieściach mogliby być sobą, gdyby nie byli mną"

Fot. Waldemar Stępień

— Matka — wspomina Witold Kuncewicz — od początku bardzo zaangażowała się po stronie prześladowanych i wypędzanych. Były to praktyki głęboko sprzeczne z jej poczuciem humanizmu, więzi ogólnoludzkiej i sprawiedliwości. Zastanawiała się jak mogłaby najskuteczniej okazać swą pomoc, i postanowiła opublikować apel, potępiający hitlerowskie represje segregacyjne, a równocześnie apelujący do Polaków o pomoc. Sama również, jako jedna z pierwszych zadeklarowała na fundusz wypędzonych chyba dwa tysiące złotych, co wówczas nie było kwotą symboliczną. Zamiar publikacyjny nie spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem i, o ile dobrze pamiętam, musiała uzależnić dostarczanie kolejnych odcinków „Cudzoziemki" od wydrukowania apelu. Jest to fakt mało znany głównie z tego powodu, iż matka o nim nie wspominała, uznając zapewne taką swoją postawę za naturalną. Wziąwszy pod uwagę stan oficjalnych stosunków polsko-niemieckich w owym czasie, działanie jej wymagało dużej odwagi osobistej.

— Podobnie bardzo aktywnie w pomoc Żydom, zaangażował się ojciec — wspomina dalej Witold Kuncewicz. — Ograniczając prawa obywatelskie,

ŚLADEM „STU Z LUBLINA"

RADIOSTACJA KOMENDY OKRĘGU AK NA DZIESIĄTEJ

Mirosław Derecki

NA publikowanej w 12. numerze „Relacji" liście stu osób z Lublina wywiezionych 6.07.1947 r. z obozu dla internowanych w Diagiliewie koło Riazania w niewiadomym kierunku (listę tę, wraz z prośbą o interwencję, skierowały na początku października 1947 r. do prezydenta Bolesława Bieruta rodziny internowanych AK-owców i członków wojewódzkiej Delegatury Rządu w Lublinie), widnieją pod numerami 48 i 50 imiona i nazwiska: „Litwinek Jerzy" i „Litwinek Kazimiera, matka Jerzego". W odróżnieniu od większości innych pozycji na liście, przy nazwiskach „Litwinków" nie podano ani daty ich urodzin, ani daty internowania.

Nazwiska te zostały podane w zniekształconej formie. W istocie chodziło o Kazimierę L i t w i n i u k o w ą, urodzoną w 1900 r., oraz jej syna Jerzego L i t w i n i u k a, urodzonego 30 marca 1923 r.

Zmarła w 1973 r. dr Kazimiera Litwiniukowa była znaną lubelską lekarką. W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat swego życia dała się poznać jako inicjatorka powszechnych badań rentgenowskich dla dzieci, kierowniczka dziecięcej poradni przeciwgruźliczej; była też wieloletnią przewodniczącą Ligi Kobiet, przewodniczącą Miejskiego Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego, sprawowała funkcję radnej miejskiej. Jest pochowana na cmentarzu przy ul. Lipowej.

Jerzy Litwiniuk, poeta, satyryk, tłumacz literatury rosyjskiej, w okresie powojennym, student historii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, od lat mieszka w Warszawie, związany zresztą nadal z Lublinem więzami rodzinnymi, tutaj mieszkają jego dwie siostry.

Warto dodać że spośród osób wymienionych na liście „Stu z Lublina" właśnie Kazimiera i Jerzy Litwiniukowie nie potrzebowali zabiegów interwencyjnym o ich uwolnienie. Po prostu oboje od kilku miesięcy byli już z powrotem w Lublinie. O czym, najwidoczniej, osoby układające listę nie wiedziały.

Wiele świadczy za tym, że Kazimiera i Jerzy Litwiniukowie zostali zwolnieni z obozu w Diagiliewie koło Riazania (gdzie przebywali zresztą w różnych okresach czasu, a więc nie wiedząc wzajemnie o sobie) w wyniku porozumienia z 5 marca 1947 r. pomiędzy polską delegacją rządową z premierem Cyrankiewiczem na czele a władzami Związku Radzieckiego — o „repatriacji osób narodowości polskiej, które w wyniku działań wojennych znalazły się na terytorium ZSRR" (jak pisze w 12. n-rze „Relacji" Janusz Wrona w artykule „Stu z Lublina"). Do zwolnienia Litwiniuków mogła przyczynić się interwencja Bolesława Bieruta, do którego niejedną ścieżkę w podobnych sprawach wydeptała Wanda Papiewska z Lublina, rodzona siostra Jana Hempla, której Bierut wiele zawdzięczał w swych młodzieńczych latach...

W jaki sposób Kazimiera i Jerzy Litwiniukowie znaleźli się w obozie pod Riazaniem? To długa historia. Bierze ona swój początek od rozszyfrowania przez wojskowe władze radzieckie (pod koniec lipca 1944 r.) działającej w lubelskiej dzielnicy Dziesiąta radiostacji tutejszej Komendy Okręgu AK, utrzymującej stały kontakt z polskim rządem w Londynie.

Najpierw należałoby jednak wyjaśnić, skąd Litwiniukowie wzięli się w Lublinie. Co robili tutaj podczas okupacji. I dlaczego właśnie w domu, w którym mieszkali, znalazła siedzibę radiostacja AK.

Ta publikacja odkrywa kolejną „białą plamę" z okupacyjnej i tuż-pookupacyjnej historii Lubelszczyzny. Fakty tutaj podane przedostają się do publicznej wiadomości — po raz pierwszy.

Kazimiera Litwiniukowa

urodziła się w roku 1900 we wsi Płoska na Podolu, gdzie pracował jej ojciec. Wincenty Dąbrowski, z zawodu agronom.

Około 1910 r. Dąbrowscy przyjechali do Lublina. Pan Wincenty otrzymał tutaj posadę państwową — inspektora sadownictwa guberni lubelskiej. Niestety, wizja spokojnego życia szybko się skończyła. Oskarżony o „agitację na rzecz nieistniejącego państwa polskiego". Wincenty Dąbrowski został aresztowany i skazany na karę śmierci. I choć w procesie odwoławczym uwolniono go od winy i kary, tak się tym wszystkim przejął, że zapadł poważnie na zdrowiu, a wkrótce potem — umarł.

Po śmierci Wincentego Dąbrowskiego jego żona zdecydowała się pozostać w Lublinie na stałe.

Kazimiera Dąbrowska chodziła w Lublinie do szkoły; tutaj w kilka lat później wstąpiła w szeregi Polskiej Organizacji Wojskowej, a podczas wojny 1920 r. była łączniczką. Wcześniej jeszcze, w 1916 r., gdy do Lublina przybył Józef Piłsudski, była wraz z koleżankami Ewą Szelburg i Ireną Kuncewiczówną jedną z tych dziewcząt, które przeciągnęły żeński hufiec skautowy, pozostający pod wpływami endecji, na stronę legionową...

Męża też wybrała sobie z Lubelszczyzny. Jan Litwiniuk pochodził ze wsi Mokrany Stare, znajdującej się w pobliżu Terespola.

Po ślubie Jan i Kazimiera (która wcześniej rozpoczęła studia polonistyczne) zamieszkali w Krzemieńcu. Jan Litwiniuk objął tam posadę urzędnika w Banku Ziemi Polskiej. W 1923 r. urodził się im syn, Jerzy; w rok później — w Lublinie, gdzie akurat przebywała u matki młoda mężatka — córka Krystyna Anna, zwana później w rodzinie — Hanią. Dopiero w 1936 r.

władze niemieckie zarządziły, że społeczności żydowskie poszczególnych miast mogą być reprezentowane jedynie przez gminy, które powinny wyznaczyć swego przedstawiciela do kontaktów z władzami. Jednak tym przedstawicielem nie mógł być Żyd. Do ojca zgłosiła się wówczas gmina berlińska. Nie odmówił i przez bodaj półtora roku kursował między Warszawą a Berlinem, załatwiając najprzeróżniejsze sprawy. Najczęściej związane z wyjazdami z Niemiec i zgodami na wywóz stamtąd kapitału, przedmiotów wartościowych, dorobku życia. Ojciec najczęściej podróżował samolotami, bo funkcjonowała już regularna linia Warszawa — Berlin. Pamiętam go, gdy któregoś letniego dnia 1936 roku wpadł do mieszkania na Placu Trzech Krzyży jak burza, w wielkim pośpiechu spakował się, po czym wybiegł na Wilczą, gdzie u rzeźnika zamówił telefonicznie kilka kilogramów ulubionej przez Göringa kiełbasy. Ojciec miał załatwiać jakąś sprawę właśnie u niego, a znając jego obżarstwo i łakomstwo, chciał przy pomocy kiełbasy nieco go „rozmiękczyć". Jak się okazało — skutecznie. Ilekroć potem udawał się do Berlina i zabierał kiełbasę, wiedziałem, że będzie się widział z Göringiem. Za swą pracę ojciec nie brał jakichkolwiek pieniędzy i nawet bilety lotnicze płacił z własnej kieszeni... Mówił, że gdyby wziął od Żydów choćby feniga, cała jego działalność straciłaby swój sens moralny. Matka naturalnie wspierała go w tych poczynaniach i godziła się na dezorganizację życia rodzinnego, jaką niosły liczne rozjazdy, korespondencja, studiowanie przepisów, interweniowanie...

OKRES tuż przedwojenny był dla Marii Kuncewiczowej szczególnie owocny twórczo. Do znakomitej „Cudzoziemki" czy wcześniejszych „Dwóch księżyców" niespożytej energii i inwencji autorka „dorzuciła" pierwszą powieść radiową w Polsce „Dni powszednie państwa Kowalskich". W 1937 roku otrzymała Nagrodę Literacką Miasta Warszawy, rok później Złoty Wawrzyn PAL, a w 1939 roku wybrana została wiceprezesem PEN-Clubu. „Cudzoziemką" zainteresowało się kilka zagranicznych oficyn wydawniczych.

Wybuch wojny nie pozostawiał pisarce wyboru. Pozostanie w kraju oznaczałoby niechybne aresztowanie. Wraz z grupą artystów, którzy w początku września przybyli do jej domu w Kazimierzu (m.in. Julian Tuwim) opuszcza kraj. Na długo.

W Londynie już w 1940 roku obejmuje kierownictwo oddziału polskiego PEN-Clubu. Będzie je sprawować do 1955 roku. Służyć będzie sprawie polskiej jak najlepiej potrafi: żarem serca, pomocą serdeczną i talentem pióra. Znów zaangażuje się w walkę o prawa człowieka, prawo do ziemi własnej dla wygnańców z Polski, którzy wrócić do niej nie mogli, bo poczynaniami ówczesnych „właścicieli kraju" odwróciła się od swoich najlepszych synów (m.in. odbierając obywatelstwo bohaterom wojennym z generałem Andersem czy dobrym znajomym Marii, mjr. Hemarem, walczącym tylko wierszem w czołówce artystycznej II Korpusu).

Pisarka robi wszystko, co w jej mocy, aby Polakom i twórcom polskim stworzyć substytut ojczyzny z dala od niej. Pisze też. W latach 1946—50 powstaje „Zmowa nieobecnych", panorama emigracyjnych losów wojennych i powojennych w Anglii. Wstrząsająca analiza alienacji w obcym środowisku etnicznym, wyrwania z korzeniami, bezsiły jednostki w konfrontacji z wielką polityką. Z równym ogniem napisany zostaje „Leśnik" (1957) — rozliczenie udziału historii w kształtowaniu losów indywidualnych Polaków.

Osobnym rozdziałem staje się praca naukowa i popularyzatorska pisarki. Przygotowuje antologie współczesnej literatury polskiej: „The Modern Polish Prose" i „The Modern Polish Mind", mające utrzymać kontakt naszej literatury z obiegiem światowym. Zapewne pod wpływem tych zbiorów z Uniwersytetu Chicagowskiego otrzymuje propozycję wykładów jako „visiting professor". Przyjmuje ją i przez osiem lat (1963—71) przybliża amerykańskim studentom literaturę polską.

Jak powie podczas laudacji Lech Ludorowski, Marii Kuncewiczowej udaje się przecież nasze polskie dramaty, pasje i niespełnienia, te „walory specjalne — niepojęte dla obcych zawikłania polskiego losu — przełożyć na wartości uniwersalne". Prowadzi profesor Kuncewiczowa swych studentów poprzez polski fenomen czy może fenomen Polski ze znawstwem, finezją i tak atrakcyjną, że gdy przychodzi wreszcie czas rozstania, uczelnia czyni wiele, by do niego nie doszło.

W okresie akademickim powstaje „Tristan 1946", historia miłości młodego Polaka i irlandzkiej dziewczyny, wspaniała transpozycja mitu celtyckiego o Tristanie i Izoldzie. Profesor Alina Aleksandrowicz napisze: „Odsłania więc autorka tragizm życia bohaterów przewyższający tragedię patetycznej śmierci. Oryginalność obrazów i ich sugestia, spokojny tok narracyjny i liryzm potęgowany przywołaniem mitu konfrontowanego z rzeczywistością sprawiają, że otrzymujemy utwór doskonały, dorównujący najlepszym dokonaniom literackim świata".

Z kolei przykładem niebywałej, skoncentrowanej samoobserwacji są psychologicznie fascynujące powieści autobiograficzne „Fantomy" i „Natura". Stanowią ważny głos w ponadczasowym problemie relacji twórca — świat, artysty pośród innych ludzi, pisarza wobec swego dzieła. Podsumowaniem drogi życiowej są „Listy do Jerzego", pełne głębokiej mądrości adresy do swego zmarłego przed kilku laty męża. Postaci arcypolskiej, oryginalnej i niewątpliwie wartej przybliżenia ponad wymiar, w jakim to dotychczas uczyniono.

Podczas uroczystości kazimierskiej Maria Kuncewiczowa powiedziała:

— Pisząc „Listy do Jerzego", dokonywałam obrachunku z moim życiem, które przedłużyło się ponad wszelką miarę i oczekiwanie. Myślałam, że wraz z ukazaniem się tej książki odejdę, ale wciąż jeszcze jestem i to stanowi jedną z tych zagadek, których nie potrafię rozwiązać...

Dziękująca zaś za honorowy doktorat czyniła to w formie dalekiej od sztampy dając nam zebranym lekcję, jak życie odczuwać i przeżywać należy:

Magnificencjo, Panowie Profesorowie!

Z wdzięcznością, ale też z wielkim zażenowaniem przyjmuję wyraz Waszego uznania. Z zażenowaniem, bo nigdy nia miałam ambicji naukowych. Węzeł, jaki mnie wiąże z nazwiskiem wielkiej uczonej, jest czysto prywatny, bo jako początkująca reporterka literacka byłam obecna na otwarciu Instytutu Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie. Przy tej okazji poznałam też Jej córkę, Madame Joliot. Jako reporter byłam także dopuszczona na Zamek, gdzie Prezydent Rzeczypospolitej przyjmował znakomitych gości. Inne, późniejsze spotkania były smutne, bo w Instytucie Marii Skłodowskiej-Curie w Warszawie chorował i umarł mój brat Aleksander Szczepański i stamtąd wywieziono Go na Powązki. Tak więc wszystko, co się wiąże z Marią Skłodowską-Curie, ma dla mnie charakter głównie prywatny.

Ten dzisiejszy zaszczyt pogłębia więzy z Jej osobą. Wdzięczność moja dla Was obejmuje jednak w pierwszym rzędzie Waszą pracę dla kultury i wiedzy polskiej, dla dobra kraju i świata.

Dziękuję Wam!

HISTORYCY i krytycy literatury, biografowie zapewne utrwalą pamięć Marii Kuncewiczowej pełniej, lepiej i bardziej naukowo. Ja chcę się podzielić tylko jedną refleksją własną. Ze spotkania pani Marii z Jerzym Kosińskim, do którego doszło w ubiegłym roku, kiedy pisarz po latach nieobecności mógł wreszcie przyjechać do Polski. Był bukiet wspaniałych róż. Uściski. Rozmowa wiedziona równolegle po polsku i angielsku, bowiem pani domu nie chciała uchybić etykiecie i być zrozumiałą także dla małżonki pisarza Kiki i attaché kulturalnego ambasady USA p. Alice LeMaistre. Nawet przez moment nie było wątpliwości, kto jest tu postacią pierwszoplanową.

Kosiński wspominał, ile zawdzięcza pisarce; jak mu pomagała w pierwszych latach w USA. Jak przekonała go, że powinien zostać pisarzem anglojęzycznym, bo tylko wtedy, tam w Ameryce, będzie miał szansę bycia twórcą. Jak broniła „Malowanego ptaka" przed wściekłymi atakami, broniąc tym samym — jak mówiła — nie tylko konkretnego pisarza, ale prawa pisarza do własnej osobowości i własnych form jej eksponowania w swej twórczości.

Było w tym spotkaniu coś z symbolu. Ona, pisarka polska, choć obywatelka USA. Związana ze swoją ojczyzną — Polską i swoją ojczyzną — Kazimierzem, choć pisząca większość swych powojennych dzieł TAM i z pozycji cudzoziemki. On, pisarz amerykański, cudzoziemiec najpierw z wyboru, potem z przymusu. Wracający do swej ojczyzny — Polski i swojej ojczyzny — Łodzi swoją fizycznością i pisarstwem. Podobnie jak w Stanach wyciągała rękę do debiutującego cudzoziemca, tak teraz witała w nim i w Polsce pisarza i twórcę. Być może są to symbole bez znaczenia. Być moje jednak życie bez symboli jest bez znaczenia.

Kończąc laudację, profesor Ludorowski mówił: „Pochylamy się przeto w najgłębszym przeświadczeniu, że wielkość myśli, potęga sztuki, wyobraźni i siła taletu uczyniły Dzieło Marii Kuncewiczowej dziełem trwałym niepodległym niszczącemu działaniu czasu, dziełem, o którym rzec można — trawestując niezapomnianie słowa romantycznego wieszcza — słowa następujące:

TA KARTA WIEKI BĘDZIE TRWAŁA
I SIŁ JEJ STANIE".

---

przyszła na świat, już w Poznaniu (bo Litwiniukowie kilka razy przenosili się z miejsca na miejsce), córka najmłodsza, Barbara.

W końcu lat dwudziestych Kazimiera Litwiniukowa zapisała się na studia medyczne. Miała zrobić dyplom dopiero na początku 1939 r. Trójka dzieci i obowiązki domowe nie pozwalały jej na „normalne" studia, zamknięte w pięcioletnim okresie nauki.

Litwiniukowie mieszkali już wówczas w Mikołowie Śląskim pod Katowicami. Dwójka starszych dzieci uczęszczała tam do gimnazjum, a matka dojeżdżała codziennie do szpitala w Katowicach, gdzie była na lekarskim stażu przeddyplomowym.

Po wybuchu wojny

wszyscy znaleźli się w Lublinie. Zamieszkali, wraz z babcią Dąbrowską, u wujostwa Majewskich, w ich domu przy ul. Wyspiańskiego 5, w peryferyjnej, położonej za stacją kolejową dzielnicy Dziesiąta. W tej części, gdzie stał dom Majewskich — Dziesiąta przypominała trochę wieś. Pełno tutaj było małych domków, zbudowanych w ciągnących się wzdłuż wąskich uliczek ogródkach. „Do miasta" było daleko, komunikacja z centrum Lublina, poza dorożkami konnymi, nie istniała.

Dr Kazimiera Litwiniukowa we wrześniu 1939 r. zaczęła pracować w mieszczącym się przy ul. Narutowicza szpitalu Czerwonego Krzyża. Szybko związała się z konspiracją. Przybrawszy pseudonim „Mira", działała w Wojskowej Służbie Kobiet AK, była organizatorką drużyn sanitarnych, wykładała na tajnych kursach sanitarnych. Zresztą wszyscy Litwiniukowie byli w konspiracji. Żołnierzem Armii Krajowej był jej mąż Jan Litwiniuk; jej syn Jerzy, a także młodsza o rok od Jerzego córka Hania (zaprzysiężona w końcu okupacji przez własną matkę). Hania montowała zapalniki do granatów, uczęszczała na kursy sanitarne.

15 lipca 1944 r. Hania powróciła do Lublina po ukończeniu w Warszawie kursu dla sanitariuszek Armii Krajowej. Z powodu jakiegoś niedopatrzenia nie figurowała w ewidencji lubelskiej AK. I to później, gdy osadzono ją wraz z matką w areszcie NKWD, pozwoliło jej przekonać oficerów śledczych, że w konspiracji nigdy nie była i nic nie wiedziała o powiązaniach konspiracyjnych rodziny.

Jerzy Litwiniuk

związał się z podziemiem już wiosną 1940 roku dzięki młodszemu koledze, a później przyjacielowi, piętnastoletniemu Wiesławowi Olszewskiemu. Ojciec Wieśka był zawodowym wojskowym, oficerem artylerii. Był też Arkadiusz Olszewski pracownikiem wywiadu wojskowego, skierowanego na wschód. Kiedy został rozszyfrowany przez kontrwywiad radziecki, przeniesiono go do Lublina i „zamelinowano". Prowadził nadal działalność wywiadowczą. Na przełomie września i października 1939 r. Arkadiusz Olszewski przystał wraz z synem do konnego oddziału partyzanckiego rotmistrza Petrulewicza, który jeszcze do końca pierwszej dekady października krążył po Lubelszczyźnie. Później obaj „zeszli do podziemia".

Organizacja konspiracyjna, do której zwerbował Jerzego Litwiniuka Wiesiek Olszewski, nazywała się Komenda Obrońców Polski. Wkrótce nastąpiła wielka wsypa; KOP na Lubelszczyźnie poszedł w rozsypkę, mnóstwo jego żołnierzy trafiło do niemieckich więzień. Trafił na Zamek także Arkadiusz Olszewski, ale po sześciu tygodniach został zwolniony, ponieważ niczego mu nie udowodniono. Wolał jednak „zniknąć z pola widzenia". Przeniósł się do Warszawy.

Wiesiek Olszewski nawiązał kontakty ze Związkiem Walki Zbrojnej. Był teraz jednym z tych, którzy działali przy tajnej radiostacji mieszczącej się w domu przy ul. Narutowicza. Nocami radiotelegrafiści łączyli się z polską radiostacją pracującą na terenie Jugosławii.

Jerzy Litwiniuk nie pamięta, jakie były dalsze losy podziemnej radiostacji tropionej wciąż przez niemieckich radiopelengatorów. Dobrze wie jednak, że Wiesiek w pewnym momencie także „przewinął się" przez Zamek. I że — podobnie jak ojcu — szczęśliwie udało mu się wyjść na wolność. Tak jak ojciec, Wiesiek „spłynął" później na jakiś czas do Warszawy. Z Lubelszczyzną jednak nigdy nie zerwał. Jesienią 1943 r. znalazł się w partyzanckim oddziale „Szarugi", por. Aleksandra Sarkisowa, który miał za zadanie odbiór zrzutów alianckich w rejonie Bełżyc i Bychawy, i pozostawał tam do pierwszych miesięcy 1944 r.

Tymczasem Jerzy Litwiniuk zrobił w Gimnazjum im. Unii Lubelskiej (w 1942 r.) tajną maturę. Następnie przeniósł się na jakiś czas, podobnie jak Wiesiek, do Warszawy. W październiku 1943 r. rozpoczął studia historyczne na działającym w konspiracji Uniwersytecie Warszawskim. W styczniu następnego roku Jerzy wraca do Lublina. Tutaj Wiesiek Olszewski, który znów jest w Lublinie, „przekazuje" go do dyspozycji Wiesławowi Urychowi, komendantowi lubelskich Szarych Szeregów. Będzie teraz działał Litwiniuk jako drużynowy AK-owskich batalionów harcerskich.

Od marca do czerwca 1944 r. trwa w Lublinie kolejny kurs konspiracyjnej podchorążówki Armii Krajowej. W jednej grupie zgłębiają wiedzę wojskową: łącznościowiec Antoni Kudela; Zdzisław Czapski, zwany przez kolegów „Dyśkiem"; Janusz Niementowski, syn pułkownika, byłego dowódcy 2 Pułku Strzelców Konnych z Hrubieszowa; Jerzy Litwiniuk i „Dariusz" — niezapamiętanego nazwiska chłopak z ulicy Grodzkiej.

11 czerwca rozpoczyna się pod Bychawą zgrupowanie podchorążych AK — „szkolenie terenowe" przed ostatnimi egzaminami. W zgrupowaniu bierze udział około 250 ludzi. Ochronę dla zgrupowania stanowi konny pluton od „Szarugi". Wśród kawalerzystów są „Szam" — Andrzej Chamiec, i „Szpic" — Jerzy Krzyżanowski z Lublina.

21 lub 22 lipca 1944 r., gdy rozpoczynały się już walki o Lublin, Jerzy Litwiniuk otrzymał rozkaz zebrania podległych mu żołnierzy z Szarych Szeregów i udania się na koncentrację oddziałów AK do wsi Jacnia. Liczono, że zbierze się około tysiąca żołnierzy.

Niestety, żadnego ze swych podkomendnych Litwiniuk nie zastał w domu. Wyruszyli więc w drogę ku Jacni samotrzeć: on, Wiesiek Olszewski oraz ich kolega Czesiek. Daleko nie uszli. Lublin był dokładnie obstawiony i strzeżony przez niemieckie patrole. Zawrócono ich do miasta do drobiazgowej rewizji i długim odpytywaniu.

Po zdobyciu Lublina

przez wojska radzieckie, kiedy wydawało się, że polskie władze konspiracyjne i wojskowe władze radzieckie dogadają się co do dalszych wspólnych działań, kiedy toczyły się jeszcze rozmowy z dowódcą Komendy Okręgu AK, gen. Kazimierzem Tumidajskim — „Marcinem", i kiedy próbował urzędować lubelski wojewoda z ramienia

Dokończenie na str. 13

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1900 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby d o p e ł n i e n i e fresku wojennego autorstwa lubliniania, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna" — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński *Córce mojej poświęcam*

Suzak,

12 lutego 1942 r.
(późnym wieczorem)

Jeszcze na dworcu w Dżałał-Abadzie dowiedzieliśmy się o rozlokowaniu naszych oddziałów w tutejszej okolicy. W samym mieście — m.p. dowództwa dywizji (w domach przy jednej z głównych ulic). Stoi też tu 5 Baon Sanitarny. Pułki piechoty i artylerii rozmieściły się w przyległym do Dżałał-Abadu rejonie; 13 i 14 pułk piechoty — w Błagowieszczance, 15 pułk piechoty i Ośrodek Zapasowy 5 DP — w odległym o dwanaście kilometrów miasteczku Suzak; artyleria — na błoniach pod miastem. My będziemy kwaterowali w Suzaku.

Około godziny 16.00 wyjeżdżamy ciężarówką do naszego m.p. Jadąc, spoglądamy na panoramę górskich szczytów zamykających horyzont. Za tymi górami — już Chiny.

Samochód pędzi wąską drogą w stronę Suzaku. Poboczami maszerują oddziały naszej piechoty, suną masy miejscowej ludności, Uzbeków, którzy wracają z jarmarku w Dżałał-Abadzie, prowadząc kozy i barany. Inni jadą wozami o dwóch kołach, ciągniętymi przez osła, albo wierzchem na małym osiołku zwanym tu „iszakiem". Piękne i barwne stroje mają Uzbecy. Spotyka się kobiety o twarzach zasłoniętych „parandzią"; młodsze niewiasty zasłony nie noszą.

Ale oto już i Suzak. Samochód zatrzymuje się przed jakimś mizernym budynkiem. Rozładowujemy nasz dobytek i wyposażenie ambulansu. Kierowca niecierpliwi się, bo musi szybko wracać po resztę pozostałego na dworcu w Dżałał-Abadzie sprzętu.

Zaczyna zmierzchać. Szybko wnosimy bagaże do pomieszczenia przeznaczonego na ambulans. Wieczorem robi się chłodno. W dzień spadł w Suzaku śnieg, który stopniowo topnieje; naokoło pełno błota. Instalujemy przywieziony z Tatiszczewa żelazny piecyk. Po chwili, mimo braku szyb w oknach i drzwi (zasłoniliśmy otwory kocami i prześcieradłami), robi się cieplej i jaśniej.

Po kolacji, którą dostaliśmy z wojskowej kuchni polowej, zaczynamy się zbierać do snu. Jest nas tu dobrana grupa: dr Unger, plutonowy Franek Rezler, kapral Jan Błachuta z Chełma Lubelskiego, sanitariusze — Józef Lewczyk, Wacław Jackowiak, szeregowy Michał Szymański, no i ja. Za ścianą ulokowała się kancelaria oficera gospodarczego naszego Ośrodka Zapasowego.

Nasz dom przylega do... cmentarza. Zaraz za murem stoją nagrobki.

Powoli zaczynamy zasypiać. Czuwa tylko dyżurny sanitariusz. Co przyniesie jutrzejszy ranek?

Suzak,

23 lutego 1942 r.

Z samego rana przyszedł na wizytę lekarską dotychczas tutaj „urzędujący" dr ppor. Baczkowski z sanitariuszem wojskowym oraz sanitariuszką panną Janiną Wochówną, którą wojenne losy rzuciły do Suzaku. Wszyscy troje zdziwili się niepomiernie, kiedy zobaczyli, że nasze ambulatorium gotowe jest już do przyjmowania pacjentów.

Szczególnie zdziwiona, a nawet zaniepokojona, była panna Jasia. Można było wyczytać w jej oczach obawę o dalszy los. Przecież jest osobą cywilną, wziętą tylko czasowo do pomocy przez lekarza z „braku laku". A kiedy teraz przybył do Suzaku cały ambulans z własną obsługą, pewnie trzeba będzie odejść...

Poprosiliśmy pannę Jasię o współpracę. Chorych z odmrożeniami było tego dnia szczególnie wielu. Była cały dzień nieufna. Pod koniec dyżuru upewniła się wreszcie, że wcale nie chcemy się jej pozbyć. Okazała się miłą, spokojną osobą. Pochodzi z Brześcia. Praca „przy wojsku" to rzecz dla niej niezwykle istotna. To pewność, że codziennie zje talerz zupy i porcję ciepłego, omaszczonego makaronu.

Suzak,

17 marca 1942 r.

Po trzech i pół tygodniach pobytu zadomowiliśmy się już w Suzaku na dobre. Praca w ambulatorium, po rozkręceniu działalności i uporaniu się z pierwszą wielką falą chorych, weszła na normalne tory. Ale pierwszych kilkanaście dni było bardzo ciężkich.

Domek, w którym mieści się nasze ambulatorium, stoi obok drogi bitej wiodącej z Suzaku do miasta Bazar-Kurhan w górach Tień-Szań. Mieściła się tu kiedyś przydrożna „czajnia", toteż prawie co noc musimy informować przygodnych podróżnych, że: „Czajni zdies' tiepier niet; zdies' — łazariet". Nie zawsze Uzbecy rozumieją rosyjski. Wtedy wystarczy powiedzieć w ich języku: „kasalhona", co oznacza izbę chorych. Umykają wówczas od naszego „przybytku" i naszych chorych, jak od zapowietrzonych.

Suzak leży w powiecie syr-dariński, na obszarze między rzekami Czu i Syr-Darią, w zachodniej części Tień-Szanu, u podnóża Karataju. Jeszcze w trzeciej ćwierci ubiegłego stulecia był Suzak miastem warownym. Naokoło ciągnęły się jedynie pastwiska i sady. Dziś pełno tu pól, na których uprawia się bawełnę.

Naszymi pacjentami są nie tylko polscy żołnierze, ale także miejscowi Uzbecy. Czasami ich odwiedziny są dla nas zupełnie zaskakujące.

Któregoś dnia z samego rana przyszło dwóch małych chłopców, jak się okazało — braci, z książkami szkolnymi pod pachą. Trochę na migi, a trochę w łamanym języku rosyjskim dali do zrozumienia, że chodzi im o poradę lekarską.

„Co ci dolega czarny Uzbeku?" — pyta Franek Rezler ojcowskim tonem. Mały Uzbek podnosi sukienkę (chłopcy nie noszą tu spodenek) i pokazuje duży czyrak powyżej lewej pachwiny, mówiąc: „bolit!"...

Dr Unger, niewiele się namyślając, każe położyć chłopca na noszach i zaczyna się operacja wrzodu. Jedno cięcie lancetem i wycieka obficie z rany zielono-złota ropa. Mały pacjent ani syknął. Rezler założył opatrunek i uzbecki chłopiec podniósł się z uśmiechem.

Na odchodne powiedział jedno tylko słowo: „rachmat". W słowniku rosyjsko-uzbeckim przeczytaliśmy, że znaczy to po prostu: „dziękuję". Aha, poprosił jeszcze o zwolnienie na ten dzień z zajęć szkolnych. Usiadłem przy stole i po chwili „udostowierenje" było gotowe: „Towarzysz XZ zwolniony jest od zajęć na jeden dzień".

Było dla nas zaskoczeniem, że podczas bolesnego przecinania wrzodu ośmioletni malec nie uronił ani jednej łzy. Łypał tylko swymi czarnymi jak węgiel oczami. Wytrzymały na ból — jak każdy Uzbek.

Innym razem pojawia się w ambulatorium stary Uzbek z dorosłym synem. Trzy palce lewej ręki zupełnie zmiażdżone i częściowo urwane, mały palec zwisa na jednej skórce. Przyszedł dr Unger, popatrzył, zabrał się do odcinania tego palca i dokładnego opatrywania całej okropnie pokaleczonej ręki. Podczas zabiegu stary posykiwał tylko z bólu. Z ręką obandażowaną i zawieszoną na temblaku powiedział potem sakramentalne „rachmat" i uśmiechnąwszy się z wdzięcznością, odszedł. Idź, starcze, w pokoju! A na drugi raz nie rozpędzaj koni, jadąc z góry, a potem nie spadaj z wozu i nie gruchotaj ręki, bo masz ich tylko dwie do pracy!

W jakieś dwa tygodnie po naszym tu przybyciu zjawił się w godzinach przyjęć major Bargielski z 15 pułku piechoty, prowadząc ze sobą małą pacjentkę. Okazało się — córeczka „priedsiedatiela kałchoza imieni Lenina w Suzakie", u którego major stoi na kwaterze. Dziewczynka, o czarnych jak heban włosach i oczach niby dwa żarzące się węgle, miała bolesne wrzody na szyi. Dr Unger stwierdził gruźlicę naczyń limfatycznych. Trzeba będzie robić liczne, bolesne punkcje. Od tamtej pory dziewczynka co kilka dni przychodzi do nas na zabiegi i stan jej znacznie się poprawił.

A ileż to pomocy lekarskiej, ambulatoryjnej udzielamy dniem i nocą naszej polskiej ludności cywilnej! Ludność ta mieszka w okolicznych kołchozach. Niestrudzonym opiekunem tych biedaków okazał się Janek Błachuta z Chełma Lubelskiego. Do jednych biega stale z bandażami, do innych z termometrem (gdy zapadają na tyfus plamisty), tym, którzy przeziębili się (głównie z powodu braku dobrego obuwia), stawia bańki. Innym jeszcze robi nacierania i masaże.

Zabiedzona, wyczerpana fizycznie nasza ludność cywilna chroni się bliżej wojska, bo tu i łatwiej o łyżkę strawy, o „pajkę" chleba, o pomoc lekarską.

Trwa epidemia tyfusu plamistego, wzmagając się coraz bardziej, i nasi lekarze i sanitariusze mają ręce pełne roboty. To, że Janek Błachuta, biegając tak od jednego do drugiego chorego po całej okolicy, sam nie nabawił się tyfusu plamistego, a obok niego i my — to widocznie ręka Opatrzności.

Po zorganizowaniu przez nasze oddziały stałego dożywiania polskiej ludności cywilnej (z naszych porcji żołnierskich, i tak zresztą kusych) widać przy polowych kuchniach długie kolejki małych i dużych, z bańkami i rondelkami w rękach. Kucharze leją do nich z kotłów pachnącą, ciepłą zupę, trzy razy dziennie. Ludzie uśmiechają się i ten uśmiech znaczy dla nas wiele więcej niż słowa.

Suzak,

18 marca 1942 r.

W kilka dni po zakwaterowaniu w Suzaku spotkaliśmy tutaj kilka naszych dobrych znajomych z okresu pobytu w Tatiszczewie: panie — Basię, Hankę, Henię; a z nimi inne „cywilne" Polki. „Co tutaj robicie?" Odpowiedziały: „Pan pułkownik ma zorganizować pralnię wojskową dla żołnierzy, więc liczymy na to, że znajdziemy w niej pracę, żeby nie jeść za darmo żołnierskiego chleba".

Ubrane w watowane spodnie, wysokie sowieckie buty, ciepłe fufajki lub płaszcze wojskowe, młode kobiety z wdzięcznością wyrażały się o pułkowniku Morawskim [dowódcy Ośrodka Zapasowego 5 DP — przyp. M. D.], który postanowił przyjąć je do pracy.

„A gdzie mieszkacie?" — pytaliśmy dalej. Okazało się, że za pieniądze Opieki Społecznej wynajęto dla nich (osiemnastu dziewcząt i kobiet) domek przy jednej z ulic Suzaku.

Teraz widujemy nasze znajome prawie codziennie. Krzątają się przy baliach pełnych bielizny albo obok kotła dymiącego parą, w którym dopełnia się ostatnia faza pracy: gotowanie upranych koszul. A przy tym i... wszy, których jest tu, niestety, bardzo, bardzo wiele.

Z Basią prawie codziennie wychodzimy, szarówką, po pracy, na spacer w stronę gór otaczających Suzak. Góry wydają się być bardzo blisko, a jednak jest do nich co najmniej dwa kilometry. Basia, a właściwie pani Barbara Z.K., jest od kilkunastu lat mężatką, matką jedenastoletniej Nadzi. Pochodzi z okolic Łunińca. Ostatnio, do 1939 r., mieszkała wraz z mężem i córeczką w Brześciu nad Bugiem. Cicha, miła, bezpretensjonalna pani. Buzia gładka, okrągła, dziś już — po jakim takim odżywieniu — pełna.

Basia wiele opowiada o swojej matce i o córce, które zostawiła w Brześciu po aresztowaniu jej przez bolszewików. O sobie mówi mało. Rzadko się uśmiecha, prawie zawsze jest poważna. Czasem tylko wspomni o swoich ciężkich przeżyciach po wrześniu 1939 r., o okresie pobytu w więzieniu na Brygidkach we Lwowie, o miesiącach spędzonych w obozach przymusowej pracy w Pocmie w mariańskiej obłasti...

Zadowolona jest, że pracuje tutaj właśnie dla żołnierzy, dla wojska. Woli tę pracę o wiele bardziej niż pracę w kołchozie. Tu łatwiej jest jej znosić ciężkie brzemię rozłąki z domem rodzinnym. A po drugie — tli się w niej płomyk nadziei, że może dzięki pracy „przy wojsku" łatwiej będzie się jej dostać za granicę, do Persji, w czasie ewakuacji, o której mówi się teraz coraz częściej. Gdyby miała w wojsku kogoś z rodziny, jej status wyglądałby zupełnie odmiennie. Miałaby zagwarantowane prawo wyjazdu. „Niestety, ja na ten przywilej nie mogę liczyć!" — mówi Basia z żałością.

Jest jeszcze jeden bardzo ważny „pozytyw" pracy dla wojska. Pracować w kołchozie za jeden „lepioszek" dziennie to ponura wegetacja. W wojsku zaś dają jeść trzy razy dziennie; ubrać też się jest w co. A jeszcze dodatkowa przyjemność to słowa podzięki od swoich za czystą bieliznę. „Wolę tu, z wami, nawet w najgorszych warunkach — mówi Basia — niż gdzie indziej nawet w najlepszych!"

Suzak,

21 marca 1942 r.

Ledwie miesiąc gościliśmy w Suzaku, a już przenosimy się. Dziś odjeżdżamy na nowe m.p., pod Dżałał-Abad. Mamy mieszkać pod namiotami, rozbitymi na podmiejskich błoniach.

Przykro opuszczać Suzak. Dość miło się tu spędzało czas. Pocieszamy się tym, że z nowego miejsca postoju będzie blisko do Dżałał-Abadu. Ja osobiście jestem w sumie zadowolony, bo w Dżałał-Abadzie kwateruje teraz Stefek Kaczyński. Dobrze mieć obok siebie przyjaciela.

(Koniec odcinka 17. — cdn.)

Podał do druku i opracował:
Mirosław Derecki

PORTRET URODZINOWY BOGUSŁAWA SCHAEFFERA

Stanisław Dąbek

„DOPÓKI nie umiemy muzyką zabijać, możemy się jej nie obawiać" — tę piękną i głęboką sentencję Schafferowską warto przypominać. Warto też mieć świadomość jej czytelnego przesłania: nie obawiajmy się muzyki, dynamicznych poszukiwań twórczych, bowiem powołaniem i prawem współczesnego kompozytora jest zajmowanie stanowiska bezkompromisowego, także skrajnie eksperymentującego, zrywanie z konwencją, z tym, co ciągle staje się konwencją. Schaeffer mówi o tym, wielokrotnie w swoich pismach teoretycznych; ujmuje to także lapidarnie, na pozór absurdalnie, formułując rodzaj programu: „Muzyka skomponowana z myślą o muzyce, nie o słuchaczach". Niewzruszenie twierdzi, że „muzyka ma wyrażać muzykę, nic więcej".

Jaka jest estetyka Schaeffera jako kompozytora? W 1959 r. 30-letni wówczas twórca ustalił jej pięciopunktowe kanony na podstawie swojej dotychczasowej twórczości. Akcentuje: 1) dyscyplinę techniczną (z każdego utworu, z każdego jej fragmentu winien przezierać porządek dźwiękowy); 2) ekonomię materiału; 3) nowość środków (bezwzględną lub przynajmniej w stosunku do ich dotychczasowego zastosowania); 4) intensywność przebiegu muzycznego, najlepiej widoczną na przykładzie gęstej zmienności materiału; 5) fascynację kolorystyczną, ruchową, ekspresyjną etc.

Schaeffer stawia własnej twórczości przede wszystkim wysokie wymagania. Są to sformułowania przemyślane, precyzyjne, świadomie podkreślające ekspansywną postawę twórczą. Ekspansywną — to znaczy akcentującą nowoczesność.

Kompozytor komentuje to następująco: „Nie należy sądzić, że każdy wielki twórca jest w stanie komponować muzykę absolutnie nową. Nowoczesność dzieła muzycznego polega na nowości jakiejś jego jednej warstwy, nie wszystkich jednocześnie (to bowiem zdarza się niezwykle rzadko)".

Ten rodzaj estetyki wyrasta przede wszystkim z dogłębnej, analitycznej znajomości partytur ówczesnej nowatorskiej muzyki europejskiej. W latach stalinizmu, totalnej — także kulturalnej — izolacji Polski, powstaje wnikliwa, fundamentalna praca „Nowa muzyka. Problemy współczesnej techniki kompozytorskiej" (opublikowana w 1958 r.). „Zdaję sobie sprawę — zauważa w przedmowie Schaeffer — że praca niniejsza wyprzedza muzykę, która na dobre pojawić się może u nas dopiero za kilka czy kilkanaście lat; w chwili, gdy to piszę, muzyka wielu omówionych tu twórców nie doszła jeszcze do Polski, a partyturę Webera studiuje zaledwie jeden polski dyrygent".

Tak więc estetyka Schaefferowska świadczy o myśleniu kategoriami po prostu kompozytora europejskiego — nowoczesnego i otwartego. Pisał wtedy: „Myślę, że przynajmniej w 4 pierwszych punktach moja estetyka zbiega się z estetyką lat ostatnich i najbliższych. Nie wiem, czy właśnie te punkty będą najważniejsze, ale chciałbym, żeby były". Z pewnością estetyka kompozytora stanowiła także reakcję na narzucany twórcom socrealizm.

6 czerwca tego roku Bogusław Schaeffer ukończył 60 lat. Co zatem pozostało z jego założeń estetycznych po 30 latach niezwykle intensywnego komponowania, gdy „opera omnia" twórcy liczy obecnie blisko 250 dzieł? W przypadku kompozytora o tak dynamicznej linii rozwoju nie zmieniała się przede wszystkim istota tej estetyki, jej duch: ekspansywność postawy twórczej, jej otwartość.

Schaeffer — twórca jest zawsze sobą. Prezentując muzykę autentycznie nową, jest twórcą współczesnym z powołania. Jest przekonany, że możliwości muzyki tkwią w niej samej. Że tworzywo, materiał, którym posługuje się twórca, informuje go, w jakim ma podążyć kierunku. Zaś materiał charakteryzuje niezwykle bogactwo, nieograniczone wprost możliwości. Dlatego dzieła Schaeffera, penetracje Schaefferowskie odznaczają się tak wielką różnorodnością, wszechstronnością. Muzyka starannie zakomponowana i infinitywna, graficzna, collage muzyczny, otwarte formy, mobile, jazz. To wyrywkowo tylko wymienione obszary tych penetracji.

Można by więc sądzić, że jest to twórczość niezwykle hermetyczna, badająca wyłącznie krąg możliwości tetechnicznych, rozwiązań technologicznych. Ten krąg dominuje oczywiście w postawie Schaeffera.

Warto przecież także zwrócić uwagę na krąg zgoła inny, nieoczekiwany u tego twórcy — tradycji polskiej i humanizmu europejskiego. Dwudziestoletni Schaeffer pisze 19 mazurków fortepianowych, w latach 70-tych powstają kolejno: „Polonaise" na chór 12-głosowy (1972), „Uwertura Warszawska", (1975) i „Romuald Traugutt" (1976) na orkiestrę. Pisze utwory o znaczących tytułach na różne składy wykonawcze i taśmę lub zespoły wykonawców — „Heraklitiana" (1970), „Bergsoniana", (1972), „Spinoziana" (1977) i „Vaniniana" (1978). Nie są to bynajmniej dzieła przypadkowe; świadczą bowiem o głębokich przemyśleniach, lekturach, inspiracjach i rodzaju wrażliwości intelektualnej kompozytora.

Stosunkowo mało znaną jest twórczość religijna Schaeffera. Zapewne dlatego, że nie są to kompozycje okolicznościowe, pisane na zamówienie, lecz tworzone z wewnętrznej potrzeby. Stanowią nawiązanie do wielowiekowej, bogatej gatunkowo, wielogłosowej muzyki liturgii katolickiej. Tę grupę dzieł otwiera „aDieu" na puzon solo (1973); należą tu także dwie msze — „Missa elettronica" (1975) i „Missa sinfonica" (1986) oraz „Miserere" (1978), „Te Deum" (1979; napisane z okazji ukończenia przez kompozytora 50 lat) i „Stabat Mater" (1983).

Schaeffer w dziełach tych dokonuje celowo wysublimowania środków; rezygnuje z rozwiązań skrajnych — eksperymentalnych, mając świadomość ponadczasowości i powszechności liturgii. Mimo to jego muzyka religijna ma indywidualne rysy swojego twórcy, np. w „Mszy elektronicznej", która może uświetniać liturgię mszalną, łączy chór chłopięcy z materiałem wokalnym nagranym na taśmie.

Osobny gatunek twórczości, Schaeffera tworzą utwory sceniczne. To dzięki nim kompozytor zyskuje olbrzymią popularność, one rozpoczynają prawdziwą modę „na Schaeffera". Publiczność podziwia jego talent dramaturgiczny, zmysł obserwacji, kapitalne poczucie humoru. Aż się nie chce wierzyć, że „Scenariusz dla nie istniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego" do tekstu kompozytora powstał przed ponad ćwierć wiekiem i należy już do klasyki tego gatunku.

Schaeffer jest także wybitnym teoretykiem nowej muzyki. Dzięki niemu polski czytelnik mógł i może równocześnie z powstającą muzyką poruszać się pewniej w labiryncie jej twórców, technologii, terminów i estetyk. Była mowa o fundamentalnej, pionierskiej „Nowej muzyce". Wymieńmy także — wśród kilkunastu książek poświęconych tej problematyce — nowatorski, bogato dokumentowany „Wstęp do kompozycji" (1976) czy pracę „Klasycy dodekafonii" (1961—1964), napisaną jak frapująca powieść. W celach popularyzatorskich powstały „Dzieje muzyki" (1983) — syntetyczne, Schaefferowskie spojrzenie na historię muzyki. Trudno przecenić rolę tego twórcy w kształtowaniu świadomości teoretycznej szczególnie młodych kompozytorów — Schaeffer jest profesorem kompozycji w krakowskiej Akademii Muzycznej — lecz także słuchaczy.

Xawery Dunikowski na pytanie: „Co robić, żeby być artystą", odpowiadał: „Trzeba umieć wąchać czas". Zbigniew Cybulski, popularyzując to powiedzenie, dodał trafny komentarz: „Zasada umiejętności wąchania czasu polga na tym, że jest się w środku, jest się tym zapachem i umie się go zarejestrować". To obrazowe stwierdzenie pomaga zrozumieć istotę fenomenu twórczego Shaeffera. Jest to artysta, tkwiący w owym „środku", umiejący rejestrować „zapachy" swojego czasu, nawet je... antycypując.

RADIOSTACJA KOMENDY OKRĘGU AK NA DZIESIĄTEJ

Dokończenie ze str. 11

rządu Rzeczypospolitej, Władysław Cholewa — punkt zborny młodych lubelskich akowców mieścił się w przedwojennym Domu Żołnierza przy ul. Żwirki i Wigury. Zaś w jednym z domów przy ul. Cichej zbierały się grupy „szkolnych" podległych Wiesławowi Urychowi. Przychodził tam także podchorąży Jerzy Litwiniuk. Jeszcze wtedy — z biało-czerwoną opaską na ramieniu i przy broni.

Chyba 27 lipca, właśnie na ul. Cichej zagadnął go Urych, czy zgodziłby się przyjąć do swego mieszkania radiostację Komendy Okręgu AK, która musi utrzymywać stałą łączność z Londynem. Odległy domek na Dziesiątej doskonale nadawał się do tego celu. Jerzy bez chwili wahania wyraził zgodę. Nie musiał sobie nawet zaprzątać głowy tym, jak ewentualnie zareagują właściciele domu. Wujostwo Majewscy siedzieli, dla bezpieczeństwa, na prowincji. W domu przy ul. Wyspiańskiego 5 byli tylko: jego matka, babcia, Hania i on. Ojciec z ośmioletnią Basią także znajdowali się poza Lublinem.

Radiostacja „zakwaterowała" się w jednym z pokoi na parterze. „Grali" na niej, każdej nocy, dwaj radiotelegrafiści: znajomy z konspiracyjnej podchorążówki Antoni Kudela oraz Piotr Potasiński, pochodzący z Parczewa. Potasiński był z nich najstarszy. Miał około trzydziestu sześciu lat. Łącznikiem pomiędzy radiostacją na ul. Wyspiańskiego a Komendą Okręgu AK był oficer noszący pseudonim „Urban". Poza rodziną Litwiniuków był jeszcze w domu Wiesiek Olszewski.

Dom przy ul. Wyspiańskiego 5. Zdjęcie z okresu, gdy mieściła się tam radiostacja Komendy Okręgu AK.

Nocą z 29 na 30 lub z 30 na 31 lipca 1944 r., gdy radiostacja pracowała „na pełnych obrotach" a Litwiniukowie spali, nagle zaczęto dobijać się do drzwi: „Otkrojtie worota!". Na zewnątrz stał radziecki patrol wojskowy.

Byli doskonale zorientowani — co, gdzie i jak. Do Jerzego jeden z żołnierzy powiedział, może trochę współczująco: „Wy nie po etoj linii poszli!".

Wzięto wtedy Wieśka Olszewskiego, Litwiniuka, no i obydwu radiotelegrafistów. Matka, babcia i Hania zostały na razie w domu. Na razie, bo w domku przy ul. Wyspiańskiego utworzono na kilka dni „kocioł". Wpadło później do niego kilka osób. M.in. kolega Wieśka, który chciał od niego pożyczyć angielski battle-dress, żeby... zaimponować mundurem swojej sympatii. Wpadł także znajomy lekarz z Głuska, który przyszedł w odwiedziny do dr Litwiniukowej.

Dokończenie nastąpi

Mirosław Derecki

JAK SIĘ TRUJEMY?

Rozmowa z dr. Bogdanem Szuckim z Instytutu Medycyny Wsi w Lublinie

— Środki chemicznej ochrony roślin, oprócz niewątpliwych korzyści, wywołują również niepożądane skutki. Nowoczesne rolnictwo nie może się już jednak bez nich obejść. Wiele z tych substancji nie ulega rozkładowi, lecz gromadzi się w różnych elementach środowiska. Jakie skutki ekologiczne może to spowodować? Jak stosowanie pestycydów wpływa na zdrowie człowieka? Ilu z posługujących się tymi preparatami ludzi robi to w sposób racjonalny?

— Strzec się niewątpliwie trzeba, ale nie wolno sytuacji demonizować. Paracelsus powiedział, że wszystko jest trucizną i nic nie jest trucizną — tylko dawka decyduje, że jakaś substancja nie jest trucizną. W pewnym zakresie jest to nadal aktualne. Od czasu, gdy na większą skalę zaczęto stosować środki ochrony roślin, upłynęło kilkadziesiąt lat i o działaniach ubocznych tych środków wiemy już znacznie więcej. Problem tkwi głównie w tym, że niewielu stosujących pestycydy zdaje sobie sprawę z następstw, jakie może dać nieumiejętne obchodzenie się z nimi. Konieczny jest odpowiedni dobór środka, właściwa technika jego zastosowania i przestrzeganie karencji. Zaniedbanie choćby jednego elementu burzy cały system bezpieczeństwa.

— Zatem prawie wszystko zależy od umiejętności i dobrej woli ludzi posługujących się pestycydami.

— Owszem, bardzo często przyczyna niekorzystnych, niekiedy wręcz opłakanych skutków dla środowiska leży nie w samym preparacie, lecz obciąża niewłaściwie obchodzącego się z nim człowieka. Nie zawsze pamięta się o tym, iż nie wolno stosować więcej środków niż jest to zalecone. Nieprawda, że im więcej — tym lepiej. Ponadto ważne jest, aby stosować wyłącznie preparaty dopuszczone do użytku. Jeśli racjonalnie zastosuje się preparat i zachowana zostanie karencja, to nawet pozostałości tego środka w przyrodzie nie będą groźne.

— Mówi się o szkodliwym wpływie nawet niewielkich ilości pestycydów na zdrowie człowieka.

— Nauka nie wypowiedziała jeszcze ostatniego słowa w tej sprawie. Niektóre z pestycydów mogą mieć niekorzystny wpływ na przebieg procesów biochemicznych w ustroju, mogą szkodliwie działać na układ nerwowy, mogą mieć działanie alergiczne. To wiemy. Jednak nie potrafimy jeszcze przewidzieć odległych skutków stałego działania biologicznie aktywnych, a obcych dla organizmu związków.

— Czy niepokój, jaki budzi możliwość rakotwórczego oddziaływania pestycydów, jest uzasadniony?

— Ilość zachorowań na nowotwory wzrasta. Jest to jednak wynikiem działania wielu czynników. Nie można więc mówić, że zależy to wyłącznie od działania pestycydów, a zależność ta jest niezwykle trudna do udowodnienia. Środki chemiczne dopuszczone do użytkowania nie są rakotwórcze, jednak niektóre z nich, w interakcji ze środowiskiem, mogą mieć takie działanie.

— Skoro pestycydy kryją w sobie tyle niewiadomych, to skąd pewność, że dopuszcza się do użytkowania tylko nieszkodliwe?

— Każdy pestycyd przed dopuszczeniem go do użytkowania jest przebadany na zwierzętach. W przypadku doświadczeń na szczurach badania prowadzi się przez całe ich życie. Jeśli w stosunku do jakiegoś preparatu zachodzi podejrzenie, że może on mieć niekorzystny wpływ na przyszłe pokolenia, stopień dokładności badań wzrasta. Chodzi o wykluczenie możliwości stosowania preparatów niepewnych. Mimo to stuprocentowej pewności nie ma nigdy, bo przecież na człowieku można prowadzić tylko późniejsze obserwacje. Na przykład DDT, któremu przypisuje się szereg niekorzystnych następstw (obniżenie płodności, żywotności ustroju i zmniejszenie jego odporności na działanie innych szkodliwych czynników), wycofano już po studiach na ludziach.

— Żyjemy w erze industrializacji świata. Rośnie zagrożenie środowiska naturalnego ze strony przemysłu, motoryzacji i wielu innych dziedzin życia. Postępuje degradacja środowiska naturalnego. Jaki mają w tym udział pestycydy?

— Można jedynie stwierdzić, że wobec wszystkich przemian, jakie niesie ze sobą cywilizacja, wpływ pestycydów na środowisko nie jest tak wielki, jakby się wydawało. Duży zakład przemysłowy (emitujący do atmosfery np. związki azotowe czy tlenki siarki) lub zanieczyszczenia przemysłowe ujęć wodnych czynią w otaczającym je środowisku znacznie większe spustoszenie, niż stosowane w tym rejonie chemiczne środki ochrony roślin. Nie znaczy to, że problem skażenia środowiska pestycydami nie istnieje; trzeba jednak zachowywać właściwe proporcje w traktowaniu pestycydów jako czynnika współdziałającego w degradacji środowiska naturalnego.

— Jakie mogą być skutki skażenia środowiska naturalnego pestycydami?

— Nagromadzenie w przyrodzie dużej ilości związków syntetycznych, aktywnych biologicznie, oddziaływuje bardzo niekorzystnie na szereg układów biocenotycznych. Niejednokrotnie jest bardzo trudno przewidzieć wszystkie ewentualne niekorzystne następstwa tego stanu. Przyroda nie znosi próżni: niszczymy jedne chwasty, a na ich miejsce wchodzą nowe. Nie ma pewności, czy zawsze niszczymy wyłącznie to, co chcieliśmy zniszczyć. Bardzo możliwe, że przy okazji uśmiercamy jakieś małe biocenozy, których nie znamy. Niezamierzonym zatruciom ulegają zwierzęta: owady, ptaki i bardzo pożyteczne ssaki. Np. przy pryskaniu pól preparatami giną pszczoły i kuropatwy. Jeśli stosuje się substancje o dużej toksyczności, niebezpieczeństwo ostrych zatruć rozszerza się na ludzi.

— Jak często ludzie ulegają zatruciu pestycydami?

— Wśród zatruć hospitalizowanych w ciągu dziesięciu lat na Lubelszczyźnie zarejestrowano 652 przypadki zatruć środkami chemicznymi stosowanymi w rolnictwie. 21 z nich zakończyło się śmiercią. Analiza częstości zatruć dla różnych czynników toksycznych wskazuje, że zatrucia pestycydami znajdują się na trzecim miejscu (po zatruciach lekami i tlenkiem węgla). Największą śmiertelność notuje się z powodu zatruć grzybami, a następnie z powodu zatruć pestycydami i tlenkiem węgla. Z naszych badań wynika, że zatrucia pestycydami stanowią 9,7 proc. wszystkich zatruć hospitalizowanych. Dla porównania podam, że zatrucia tymi środkami stanowiły w Kanadzie 2 proc. ogółu zatruć, w USA około 4 proc., we Francji 4—5 proc., mimo że kraje te stosują trzy razy więcej pestycydów niż my.

— Dlaczego zatem trujemy się częściej?

— Bardzo niebezpieczna jest powszechna dostępność tych środków. Nawet groźne chemikalia, z truciznami włącznie, bez większych problemów można kupić w każdym geesie. Większość rolników ma te środki w swoim gospodarstwie i przeważnie nie wie, jak się z nimi należy obchodzić. Często są niewłaściwie przechowywane: przelewane do butelek po piwie i wódce, przesypywane do torebek czy innych opakowań, zwyczajowo używanych do przechowywania produktów spożywczych. W takich sytuacjach o przypadkowe zatrucie nietrudno.

Część zatruć pestycydami to wynik samobójstw. Przy czym — mimo wyraźnie zróżnicowanej dostępności pestycydów w mieście i na wsi — częstość występowania zatruć samobójczych tymi środkami jest taka sama. Świadczy to o uznaniu środków ochrony roślin jako trucizn skutecznych. Ale najwięcej zatruć pestycydami powstaje w czasie wykonywania czynności zawodowych (54 proc.). W naszym regionie zatrucia związane z pracą to przede wszystkim zatrucia pestycydami. Dużo zatruć przy pracy obserwuje się wśród kobiet, chociaż wykonywanie prac z pestycydami przez kobiety jest ustawowo zabronione. Przepis ten często nie jest przestrzegany, a poza tym powszechnie nie przestrzega się okresów prewencji — prace pielęgnacyjne niejednokrotnie wykonywane są bezpośrednio po zastosowaniu środków chemicznych.

Stosowanie pestycydów przez trzy miliony osób jest absurdem. Powinny to wykonywać wyłącznie jednostki wyspecjalizowane, dysponujące odpowiednim sprzętem i wystarczającą wiedzą. Są to środki zbyt niebezpieczne, aby można je wysiewać z pończochy.

— W Polsce nie istnieją takie jednostki?

— Działające dotychczas w kółkach rolniczych brygady są fikcją, namiastką tego, co być powinno. Fluktuacja kadr jest tam tak duża, że trudno nawet mówić o jakiejkolwiek fachowości. Najczęściej rolę tę spełniają zespoły zupełnie przypadkowo dobranych ludzi. Dwudziestokrotnie częstsze zatrucia wśród pracowników zatrudnionych w sektorze uspołecznionym, niż wśród rolników indywidualnych, to wynik nie tylko różnic w narażeniu zawodowym tych grup, ale także niedostatecznych warunków pracy i organizacji w brygadach chemizacyjnych.

Zabiegi z tego typu preparatami powinny wykonywać zespoły prawdziwych fachowców, ludzi, których zawodem byłaby ochrona roślin. Brygady takie muszą dokładnie wiedzieć, jakiego środka należy użyć, jak i kiedy. Stosowanie pestycydów w niewłaściwym czasie lub w niewłaściwy sposób nie przyniesie oczekiwanych efektów, a często przeciwnie — spowoduje opłakane skutki uboczne.

Rozmawiała:
Maria Magdziarz

Z KSIĘGARNI

DRAMAT

Zygmunt Krasiński: „Irydion", Ossolineum, 600 zł. Wznowienie; wstęp i komentarz I. Rączkowskiego.

PROZA

Henryk Sienkiewicz: „Pan Wołodyjowski", PIW, 1150 zł. Wznowienie; w wydawnictwie tym wykorzystane zostały fotosy z filmu „Pan Wołodyjowski".

Józef I. Kraszewski: „Król Piast" (Michał książe Wiśniowiecki), LSW, 1350 zł.

Knut Hamsun: „Wiktoria", KiW, 250 zł. Opowieść liryczna o wielkiej miłości między biednym chłopem a dziewczyną ze sfer.

Stefan Kisielewski: „Przygoda w Warszawie", Wyd. Literackie, 580 zł. Powieść sensacyjna, której akcja toczy się na tle odbudowującej się stolicy. „Przygoda..." drukowana była w odcinkach (1959 r.) w „Tygodniku Powszechnym".

Wiesław Myśliwski: „Nagi sad. Pałac", Wyd. Literackie, 1200 zł. Pierwsza z powieści opowiada o braku psychicznego kontaktu między ojcem i synem i o próbach odnalezienia tego kontaktu; druga — o wiejskim pastuchu, który marzy o tym, że jest dziedzicem..

Heinrich Boll: „Kobiety na tle krajobrazu z rzeką", Wyd. Poznańskie, 420 zł. Książka zachodnioniemieckiego pisarza, której akcja toczy się w Bonn, lecz nie mieście wydarzeń politycznych, lecz Bonn spraw prywatnych, intymnych.

Stanisław Grzesiuk: „Na marginesie życia", KiW, 450 zł. Wydanie VII.

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Blaise Cendrars: „Murzyńskie bajeczki dla dzieci białych ludzi", Nasza Księgarnia, 300 zł.

Grey Owl: „Sejdżio i jej bobry", Nasza Księgarnia, 350 zł. Opowieść o indiańskiej dziewczynce, jej starszym bracie i wychowywanej przez nich parze bobrów.

Anna Onichimowska: „Daleki rejs", Nasza Księgarnia, 400 zł. Powieść, której autorka podjęła trudny temat stosunków w rozbitej rodzinie.

Alistair MacLean: „Przełęcz złamanego serca", Wyd. MON, 530 zł. Powieściowy western.

POEZJA

Cyprian Norwid: „Wiersze polskie", Wyd. Łódzkie, 700 zł. Wybór.

Thomas Hardy: „Poezje wybrane", PIW, 450 zł. Tomik autorstwa angielskiego poety i prozaika, żyjącego na przełomie XIX i XX w., dowodzącego, że „świat jest odwiecznie takim samym teatrem piękna i cierpienia".

MONOGRAFIA

Zygmunt Broniarek: „Ronald Reagan w Białym Domu", Wyd. MON, 1650 zł.

(Powyższy wybór dokonany został w księgarni nr 1 „Domu Książki" w Lublinie, przy Krak. Przedm. 68).

(z)

INFORMATOR KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:

8.06—10.06 godz. 11, 18; 11.06 godz. 12, 18: „Gałązka rozmarynu" Zygmunta Nowakowskiego; reż. Roman Kordziński.

Teatr Lalki i Aktora:

8.06—9.06 godz. 10, 12; 10.06—11.06 godz. 12: „Pan Twardowski" Tadeusza Wierzbickiego; reż. Tadeusz Wierzbicki.
13.06—14.06 godz. 10, 12: „Ural Batyr", baśń baszkirska; reż. Włodzimierz Fełenczak.

Teatr Muzyczny:
8.06 godz. 16.30, 20 **(Puławy — Dom Chemika)**; 11.06 godz. 16, 19.15 **(Rzeszów)**: „Bal w Savoy'u" Paula Abrahama; reż. Ryszard Zarewicz.

W PUŁAWACH

Dom Chemika, ul. Wojska Polskiego 4 — Finał Wojewódzki Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich (9.06 godz. 17 — teatry dramatyczne i pantomima; 10.06 godz. 10 — teatry dziecięce, godz. 16 — teatry małych form; 11.06 godz. 10 — teatry obrzędowe, godz. 15 — kabarety i pantomima).

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa linorytu Ryszarda Krzywki.
Muzeum Lubelskie — ogólnopolska wystawa METAFORA '89 — „ziemia".
BWA (ul. Narutowicza 4):
— wystawa z kolekcji Francesco Conza z Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie;
— wystawa fotografii Adama Bujaka pt. „Portrety Jana Pawła II" (sala Czarna).
Galeria Labirynt 2 (ul. Grodzka 3) — wystawa Dominga Cisnerosa z Kanady.
Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa prac Tomasza Psuja pt. „Obrazy".
Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa malarstwa Krystyny Witkowskiej-Trochimiuk.
Galeria Biała (LDK, ul. Pstrowskiego 12) — wystawa prac dziecięcych pt. „Moje marzenia".
Galeria Środek (ul. Kiepury 5a) — wystawa ze zbiorów Karola Karwowskiego „Sztuka przez pocztę — Mail Art".
Galeria Sztuki Sceny Plastycznej (KUL) — wystawa malarstwa Edwarda Dwurnika.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Andrzeja Strumiłły pt. „Psalmy".

W CHEŁMIE

Galeria '72 — wystawa węgierskiego artysty Istvana Haasza.
Muzeum Okręgowe — wystawa archeologiczna pt. „Odkrycia archeologiczne sezonu 1988 w Polsce środkowo-wschodniej".

W ZAMOŚCIU

Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa litografii Józefa Budki z Katowic.

TV

CZWARTEK 8 CZERWCA

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafisz
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Dempsey i Makepeace na tropie" — „Pułapka" — serial krym. prod. ang.
10.15 Domator: To się może przydać
10.45 Domator: Potwórzenie na życzenie; Malujemy mieszkanie (5)
15.55 Program dnia. DT — wiadomości
16.00 Patrol — magazyn wojskowy
16.25 Dla młodych widzów: Kwant, a w nim film „Świat, w którym żyjemy"
17.15 Teleexpress
17.30 Program publicystyczny
17.55 Być reporterem — reportaż o Zenonie Zyburtowiczu
18.20 Sonda: Klinika zwierząt
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 DT
20.05 „Dempsey i Makepeace na tropie" — „Pułapka" — serial krym. prod. ang.
20.55 Pegaz
21.30 Zielona Góra '89 — Srebrny jubileusz
23.10 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Do szkoły pod górkę
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na Lachy" — serial animowany prod. ang.
19.00 Magazyn „102"
19.30 Puls: „Nim przyjdzie lekarz" — film dok.
20.00 Studio sport: Międzynarodowe Mistrzostwa Francji w tenisie ziemnym na kortach im. Rolanda Garrosa
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki": Waldemar Zyszkiewicz „Historia Witolda Gombrowicza". Reż. Andrzej Maj; wyk.: Tadeusz Bradecki, Zbigniew Bielski, Wojciech Durjasz, Ewa Maria Radwan, Ewa Isajewicz - Telega, Jerzy Bińczycki, Tadeusz Huk i inni
23.05 Komentarz dnia

PIĄTEK 9 CZERWCA

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kuchnie świata
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 DT — dodatek gospodarczy
9.40 „Dom, który stworzył Swift" (1) — film fab. prod. ZSRR
16.10 Program dnia. DT — wiadomości
16.15 Dla młodych widzów: Rambit — finał teleturnieju
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Program publicystyczny
17.50 Studio sport: Csio Sopot — Puchar Narodów o nagrodę Prezesa Rady Ministrów
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki
19.10 Monitor rządowy
19.30 DT
20.00 „Cynk straceńców" — film fab. prod. USA. Reż. John Frankeiheimer; wyk.: Burt Lancaster, Debrah Kerr, Gene Hackman
21.30 Zielona Góra '89 — artyści radzieckiej estrady
23.10 Spór o jutro — otwarte studio
0.10 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
19.00 Studio sport: Międzynarodowe Mistrzostwa Francji w tenisie ziemnym na kortach im. Rolanda Garrosa
19.30 Dookoła świata: W Stambule
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Ostatnia granica" cz. 2 (ostatnia) — film fab. prod. australijsko - amerykańskiej
23.15 Studio łódzkich spotkań baletowych
23.30 Komentarz dnia

SOBOTA 10 CZERWCA

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży oraz film z serii „Fragglesi"
10.30 DT — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.10 Raport z granicy — wojskowy program dok.
11.40 Wędrówki dalekie i bliskie: „Arabowie z Nowej Kaledonii" — film dok. prod. franc.
12.15 Telewizja — prowincja
12.45 Flesz — program muzyczny
13.10 Telewizyjny Teatr Prozy: Maurice Cury „Krzesło w szczerym polu". Reż. Janusz Majewski; wyk.: Anna Ciepielewska, Wiesław Michnikowski, Małgorzata Niemirska, Andrzej Antkowiak, Alicja Bobrowska, Tadeusz Bart.
14.30 Do trzech razy sztuka — program z udziałem Olgi Lipińskiej, Andrzeja Piotrowskiego, Marii Goreckiej, Grzegorza Warchoła. Prowadzenie — Andrzej Zaorski
15.00 Komedie, komedie, komedie... „Przygoda z piosenką" — film fab. prod. pol.
16.35 Losowanie Dużego Lotka
16.45 Prezydenci: Grover Cleveland
17.15 Teleexpress
17.30 Studio wyborcze
18.00 „Wyprawa pod podszewkę Alp" (1) — „Amerykański komandos pod Częstochową" serial dok. prod. pol. Reż. Jan Jakub Kolski
18.35 Butik
19.00 Dobranoc: Podróże kapitana Klipera
19.00 Z kamerą wśród zwierząt: Skrzydlaci architekci
19.30 DT
20.05 Sobotni seans filmowy: „Zabawka" — komedia satyryczna prod. franc.
21.35 Studio wyborcze
21.50 Zielona Góra'89 — artyści radzieckiej estrady
23.30 Kino sensacji: „Haiti, wyspa przeklęta" — dramat sensacyjny prod. USA. Reż. Peter Glenville; wyk.: Elizabeth Taylor, Richard Burton, Peter Ustinov, Alec Guinness, Lillian Gish

PROGRAM II

14.00 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
14.25 Telewizyjny koncert życzeń
14.55 Powitanie
15.00 Zwierzęta świata: „Na otwartej przestrzeni" — film przyr. prod. USA
15.25 Spektrum
15.40 Meandry architektury: Zielony świat
16.20 „Tajniki przyrody" (8) — „Życie na granicy" — serial przyr. prod. ang.
16.50 „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy" (6) — „Już tylko nadzieja" — serial TVP
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Program rozrywkowy
19.30 Alfa i omega: Zagubieni w tłumie
20.00 Festiwal Moniuszkowski — Kudowa Zdrój — reportaż
21.00 Studio sport: Międzynarodowe Mistrzostwa Francji w tenisie ziemnym na kortach im. Rolanda Garrosa — finał kobiet
21.30 Panorama dnia
211.45 „Chateauvallon" (5) — serial obycz. prod. franc.
22.40 Komentarz dnia
22.45 Studio sport: Międzynarodowe Mistrzostwa Francji w tenisie ziemnym na kortach im. Rolanda Garrosa

NIEDZIELA 11 CZERWCA

PROGRAM I

8.15 Tydzień na działce
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz w kinie teleranka serial prod. ang. „Kto, ja, panie psorze?" (5)
10.30 DT — wiadomości
10.35 „Życie na planecie Ziemia" (1) — „Las w chmurach" — serial przyr. prod. franc.
11.30 Kraj za miastem
12.00 Morze — magazyn
12.20 Telewizyjny koncert życzeń
13.10 Powiększenie — fotomagazyn
13.30 Teatr dla dzieci: William M. Thackeray „Pierścień i róża". Reż. Janusz Ryl-Krystianowski; wyk.: aktorzy Państwowego Teatru Animacji w Jeleniej Górze
14.25 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
14.55 Marek Sierocki zaprasza
15.35 „Katarzyna" (11) — serial kostiumowy prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Studio sport: Csio Sopot — Konkurs Grand Prix
18.00 Antena
18.30 „Panna dziedziczka" (4) — serial prod. brazyl.
19.00 Wieczorynka: Tajemnica Wilklinowej Zatoki
19.30 DT
20.05 „Ucieczka z miejsc ukochanych" (4) — serial TVP
21.05 Zielona Góra'89 — koncert galowy
23.35 Sportowa niedziela
23.55 DT — wiadomości

PROGRAM II

9.20 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
9.50 Film dla niesłyszących: „Ucieczka z miejsc ukochanych" (4) — serial TVP
10.50 Peryskop — wojskowy magazyn dok.
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro poniedziałek
12.15 Powitanie
12.20 Polska Kronika Filmowa
12.30 Kino familijne: „Powrót na Wyspę Skarbów" (8) — „Skuci łańcuchami" — serial prod. ang.
13.20 100 pytań do...
14.00 „Polacy" — film dok.
14.50 Podróże w czasie i przestrzeni: „Japonia" (3) — „Dziedzictwo szogunów" — serial dok. prod. ang.
15.40 Studio sport: Międzynarodowe Mistrzostwa Francji w tenisie na kortach im. Rolanda Garrosa — finał mężczyzn
16.30 Roman Lasocki przedstawia: Krzysztof Baranowski (skrzypce)
17.00 Być tutaj... — gawęda prof. Wiktora Zina
17.15 Prezentacje hi-fi
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria „Dwójki": Jerzy Beres
20.00 Studio sport: Piłka w grze oraz teleturniej tenisowy na kortach im. Rolanda Garrosa
21.00 Studio hi-fi
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny" (13) — serial prod. USA
22.35 Studio łódzkich spotka baletowych
22.50 Komentarz dnia
22.55 Dobranoc tylko dla dorosłych

PONIEDZIAŁEK 12 CZERWCA

PROGRAM I

16.20 Program dnia. DT — wiadomości
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Studio wyborcze
18.00 Echa stadionów oraz magazyn żeglarski
18.30 Laboratorium: Myślące rośliny
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Kot rybołówca
19.10 Gorące linie
19.30 DT
20.05 Teatr Telewizji: Shelagh Delaney „Smak miodu". Reż. Jacek Witkowski; wyk.: Ewa Dałkowska, Ewa Guryn, Wojciech Wysocki, Wojciech Malajkat
21.45 Studio wyborcze
22.00 „Pióro i karabela" (3) — film dok. o Ksawerym Pruszyńskim
22.50 DT — echa dnia
23.10 Język niemiecki (30)

PROGRAM II

16.55 Język niemiecki (30)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki" na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: O pochodzeniu polskiego języka literackiego
18.00 Program lokalny
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.30 Życie muzyczne — krakowskie spotkania z gitarą (reportaż)
20.00 Spotkanie z Kalinką — teleturniej
20.40 Międzynarodowe Targi Poznańskie — reportaż
20.45 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Hemingway (3) — serial dok. prod. ang.
22.45 Komentarz dnia

WTOREK 13 CZERWCA

PROGRAM I

8.35 Domator: Rady na życzenie; Mieszkanie z pomysłem
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 DT — dodatek gospodarczy
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza" (11) — „Znak fabryczny" — serial prod. CSRS
10.35 Domator: Rady na życzenie; Wszystko o alimentach
16.00 Program dnia; DT — wiadomości
16.05 Gazeta rolnicza
16.25 Dla dzieci: Tik-Tak
16.50 Kino Tik-Taka: „Cudowna podróż" (34) — serial prod. austr.
17.15 Teleexpress
17.30 Studio wyborcze
18.00 „Następny proszę" (7) — serial prod. ang.
18.50 10 minut
19.00 Dobranoc: Przygody bączka i pączka
19.10 Od A do Z — P jak prywaciarz
19.30 DT
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza" (11) — „Znak fabryczny" serial obycz. prod. CSRS
21.10 Studio wyborcze
21.25 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.40 Fleks — program baletowy
22.10 Studio „Solidarność"
22.55 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 „Szokujące nowości. — U progu sztuki współczesnej" (14) — serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 „Wojna domowa" (5) — „Dwójka z azymutu" — serial TVP
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny
20.00 Za chwilę dalszy ciąg programu
20.30 Teletrans
21.00 Powtórka z historii
21.30 Panorama dnia
21.45 „Hrabina Cosel" (2) — serial prod. NRD
22.30 Komentarz dnia

ŚRODA 14 CZERWCA

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Szkoła dla rodziców
8.50 Domowe przedszkole
9.15 DT — wiadomości
9.25 „Parada planet" — film fab. prod. ZSRR
10.50 Domator: Przyjemne z pożytecznym
16.10 Program dnia; DT — wiadomości
16.15 Losowanie Express i Super Lotka
16.25 Scena TDC — reportaż
16.50 Cojak — teleturniej dla dzieci
17.15 Teleexpress
17.30 Studio wyborcze
18.00 Spojrzenia — magazyn państw socjalistycznych
18.30 Dawniej niż wczoraj. Archiwum XX w.
19.00 Dobranoc: Proszę słonia
19.10 Jeśli chodzi o pieniądze — program publicyst.
19.30 DT
20.05 Zwierciadło czasu: „Parada planet". — film obycz. prod. ZSRR
21.35 Studio wyborcze
21.50 Raport
22.20 Klub menadżera
22.50 DT — echa dnia

PROGRAM II

17.25 Program dnia
17.30 Wiem wszystko — teleturniej
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Lokalne studio wyborcze
19.00 Program rozrywkowy
19.30 Zwierzęta wokół nas
20.00 Klucz do nowej muzyki — o twórczości Andrzeja Krzanowskiego
21.00 Studio sport: Grand National — gonitwa przeszkodowa — Liverpool '89
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" (24) — serial TVP
22.15 Telewizja nocą
23.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 899. 29.05.1989 r. B-4.

JOURDAIN - KOWALSKI MIESZKA W 3 M

Zygmunt Mikulski

JEST kilka języków polskich: dyrektorski, magazynierski, konferencyjny, sportowy. Te otrzymują należną odprawę ze stanowiska czystości mowy. Ale skoro takie dziwolągi jak „zadaszenie", „podpiwniczenie", „złomować", „zausterkować", „lechita" (od klubu Lechia), „kombinator" (kombinacja alpejska), „klasyk" (zapasy w stylu klasycznym), „bramkostrzelny" itp. dyskwalifikują się same, to język polski „inteligentny" stroi się w piórka wyższej kultury słowa, których go trudno pozbawić. Oto zadanie dla socjologa: wyjaśnić, skąd w obywatelu PRL rośnie pan Jourdain.

Język polski „inteligentny" najlepiej prosperuje w wywiadzie telewizyjnym. Z dwóch powodów. Po pierwsze — jest to język mówiony, a radio, mając do dyspozycji tylko głos, wykazuje większą o niego dbałość; po drugie — język ten wynika z chęci zachowania tej całej „nieoficjalności", „bezpośredniości" i „kameralności", których stylistykę telewizja wprowadza w akustykę wielomilionowego audytorium, każdy więc postawiony przed „całą telewizyjną Polską" pragnie zaasekurować się skromnością, która ma mu być policzona za sympatyczną swojskość. A oto rezultat:

„— Na skutek pańskiego szkutniczego hobby miejscowy dom kultury ma prawie całą galerię modeli pływających. Czy można spytać co przynosi to panu osobiście?

— Hm, tak. Trzeba powiedzieć, że mam w tym chyba jakąś satysfakcję, poza tym w tego rodzaju zajęciu z pewnością odczuwam tak potrzebne dziś odprężenie".

„Chyba", „jakąś", „z pewnością". Jakby bez żadnych obwarowań stwierdzić coś o sobie to postąpić drętwo, bo odebrać słuchającemu jego stanowisko. W ten sposób od niejednego Kowalskiego dowiemy się jeszcze, że pracuje przypuszczalnie w biurze projektów, może jest właścicielem Fiata 125 p i urlop spędził prawdopodobnie w Międzyzdrojach.

Bo pan Jourdain-Kowalski nie mówi. Pan Jourdain-Kowalski zdaje egzamin z poetyki współczesnego języka kolokwialnego, opartego na tym „intymnym", przy pół czarnej tonie, który jest bon-tonem wywiadu, dyskusji, kącika BWA. Jak młodzież ma swój dyskotekowy slang, tak środowisko inteligenckie konwersacyjny argot.

Na czym on jeszcze polega? Bo nie tylko na tej „elastyczności", wynikłej z troski o maksimum zwrotów koniunktywnych, jakby powiedzieć coś jednoznacznie, to pozbawić wypowiedź całej masy interesujących podtekstów. Polega jeszcze na zachowywaniu ciągłości wypowiedzi, kiedy jest na wyczerpaniu treść. Mamy więc „to piękno, które znajduje się w krajobrazie, w pejzażu polskim, które tkwi w urodzie naszej ziemi", „retrospekcję, powrót w przeszłość, spojrzenie w stronę czasu minionego, tak ważne u tego autora", „czynny i aktywny stosunek do rzeczywistości wytwarzający szczerą i niekłamaną postawę prawdziwego komunisty".

Paradoks: słowo współczesne puchnie. Wyrażano kiedyś opinię, że językiem przyszłości będzie perforowana taśma. Tymczasem jesteśmy świadkami zjawiska przeciwnego: autoteliczności słowa, które traci funkcję konstatowania, rozluźnia związek ze znaczeniem, staje się czymś dla siebie. Najpierw mówić, później powiedzieć — że też nie wpadli na to starożytni.

Nie wpadli i późniejsi. Kiedy się czyta teksty np. siedemnasto-, osiemnastowieczne, ani śladu tego stylistycznego konwenansu, który jest liturgią bez religii, etykietą bez etyki, futerałem bez instrumentu. Nie musiało być źle nawet z grandilokwencją Gongory, skoro znajduje dla niej uznanie sam Przybos, znany pasjonat kompresji środków wyrazu.

Kiedy więc „język giętki", który „mówi wszystko, co pomyśli głowa", jest znamieniem towarzysko-społecznej nobilitacji, dziwne, że w obiegu znajduje się tyle sztonów. Popatrzmy. „Zwiększyło się pole manewru", to i owo stało się „doświadczalnym poligonem", coś innego „rozmyło się", ten i ów „się sprawdził", tu i tam przeprowadzono „przymiarkę". Jedno „nakłada się" na drugie, trzecie „zderza się" z czwartym, piąte jest „na styku" z szóstym. Różnica nigdy nie bywa duża, zawsze jest „stosunkowo duża" nawet wtedy, kiedy nie wchodzi w żadną relację, warunki atmosferyczne nie są znośne, muszą być „w miarę znośne", bo to zwiększa stopień intelektualności określenia. A problem? Wystąpił z brzegów wszelkich znaczeń, posiadł wszech-znaczenie. „Celem tego przedsięwzięcia jest problem uzyskania większej wydajności". „Problem" — święta krowa semantyczna musi się znaleźć w każdym stylistycznym obejściu. Mimo to — nie do wiary — jest coś, co go bije na głowę: aż dziw, że dopiero teraz wyrwana ze słownikowej drzemki „formuła". „Znaleźliśmy formułę dla naszego teatru", „powstaje nowa formuła krążenia dóbr kultury", „na formułę tego sukcesu złożyło się solidne przygotowanie i poczucie aktualności".

W dodatku każdy z użytkowników tych oklepanych brzęczątek jest przekonany, że wprowadza do języka nowe i wyjątkowo trafne sformułowanie. Ile przy tym wewnętrznego krygowania się, ile przepraszania za oryginalność! Niemal słychać: „Jeśliby państwo pozwolili na wyszukaną metaforę, porównałbym kobietę do kwiatu".

A „w poszukiwaniu własnej autentyczności". Prawda, jak inteligentnie brzmi? Aż słodko w uszach. Bo na przykład koń. Jeszcze nie wiadomo, czy jest koniem autentycznym. Tak samo ja. Jestem zastępcą młodszego referenta na poczcie, ale chciałbym być mistrzem gry na picolo-flecie i to mi się nie udaje. Wtedy kwestia nie dotyczy mojej autentyczności jako flecisty, dotyczy mojej autentyczności w ogóle. Nawet bez „w ogóle". Kropka. Tymczasem: owszem — można grać, pozować, stroić się w piórka, ale udając nawet szwagra Szecherezady, nawet księcia Siódmego Księżyca, jestem autentyczny. Jako udawacz. Jako, jako. Konieczne odniesienie. Przytoczony zwrot chce powiedzieć o poszukiwaniu środków służących tzw. spełnieniu osobowości, ale dla „interesującej" figury stylistycznej popełnia logiczny kiks.

A podobno wszystko współczesne zmierza do funkcjonalności, konkretyzacji, redukcji akcydentaliów. Wynika jednak, że wszystko z wyjątkiem mody i języka inteligencji. Jeżeli nie napawa entuzjazmem perspektywa rozmawiania kodem matematycznych symboli, to musi zdumiewać żywotność wciąż nie wyczerpanej pożywki dla tych breloków, fiksatuarów, na chrypce wyciskanych fiorytur. Dla tego tapirowania mowy w kameralnych fryzjerniach przed kamerami telewizyjnych wywiadów.

To w ulotnej fonii. Co zaś in scriptis, które manent? Na szpaltach? Zdawałoby się, że co jak co, ale wolny od tych sztamp będzie język literacki pisany. Literacki, więc przeciwny naśladownictwu; pisany, więc nie wymagający wypowiedzi ex promptu. Tymczasem np. recenzja. Rżnie stylistyczne szlagiery, jakby zabłąkany we współczesności duch „Rebeki", „Ramony", „Jesiennych róż" (ach, któż pamięta) znalazł ciepły kącik u tej przedstawicielki acz krótkometrażowej, to jednak żywej (przynajmniej in spe) twórczości intelektualnej. Obojętnie, o jakiej książce mowa, refren, oparty na słownictwie i frazeologii z żelaznego repertuaru recenzenckiego, zagwarantowany. Tu szukaj klerka naszych czasów.

Czy w recenzji zbioru poezji jest mowa o wierszach? Jest mowa o „propozycjach" i „realizacjach". Jakby pisać wiersze, to nie wyznaczać swojego stosunku do świata, ale szukać sposobu wejścia na rynek. Czasopiśmienniczy, wydawniczy, czytelniczy. Szukać nie miejsca na ziemi, ale pozycji w cechu. Pewnie, że w końcu napisze się i o czymś takim, jak problematyka, wartość artystyczna utworu itp., ale w sposób jakże opływowy i fenomenologiczny, jakże odwracający hierarchię planów. Nie autor wobec rzeczywistości, lecz autor wobec autorów — oto klucz recenzenckiej piosenki.

Przyznajmy jednak lojalnie, że „realizacja" i „propozycja" zaczynają wychodzić z użytku. Szumiały wokół poezji lingistycznej, a ta przycichła. Ale „liczący się" i „znaczący" bryluje dalej. Gdybyż przynajmniej była to stylistyczna nowalijka, którą recenzent jeszcze się nie nacieszył. Tymczasem jest o aktualność z brodą Matuzalema. Popatrzmy na daty artykułów z „Linii i gwaru". A zresztą. Co tu mówić o brodzie, jakby sama dzisiejsza częstotliwość nie wyrobiła sztampie wystarczającego stażu. „Dajcie mi parę frazesów, bo chcę coś powiedzeć" — oto wołanie dzisiejszego recenzenta.

A „nośne" metafory? Jakżeby nie. Oto dziwoląg praktyki krytyczno-literackiej: im częściej jakiś zwrot jest używany, tym ma większą gwarancję być używanym dalej, bo żaden piszący nie chce znaleźć się na pozycji tego niezorientowanego, który jeszcze nie przyswoił sobie obowiązującego słownictwa. Nie ma dziś salonów w sensie towarzyskich instytucji snobistycznych. Są salony w sensie przyjętych stylistycznych konwencji.

I jakże często po ratunek do nich udaje się niepewność recenzenta. Na przykład. Nie za tego z analizą, gdzieś umyka to przeklęte sedno, konstrukcja coś jakby podparta słowem honoru. Wtedy co? Wtedy strzela się: „mit". Dopełniacz już nie musi grzeszyć precyzją. Sam „mit" to błysk świadomości, w którym spełnia się myśl krytyczna, a taką nie oślepiony będzie tylko czytelnik-kret. Jakże pchać sprawdzające paluchy w świetlistość łuku nad znaczeniami! Jak nie dowierzyć przyjściu nagle rozjaśniającej wizji! Oto stał się ten jedyny w swej celności uchwyt krytyczny! Kiedy się powiedziało „mit", można zejść ze sceny, dyskretnie ocierając spocone czoło. I niech tam sobie huczą oklaski.

Statystyczny Kowalski mieszka w M 3. Ale pan Jourdain-Kowalski w 3 M. Jak futuryści. Tamci mieli „miasto, masę, maszynę", ten „modę, manię, manierę". Wszechwładne, nie do ominięcia. Bo raptem się okazuje że nie było Stanisława Ignacego Witkiewicza, był Witkacy. Powstał w Polsce masowy pojaw bliskich znajomych autora „622 upadków Bunga". Lwia część piszących o nim czuje się zobowiązana do tej konfidencjonalnej formy. „Czystej formy" niezabawnej zabawy. Gdyby tylko w anegdotach, dykteryjkach, lżejszym kalibrze. Ale skąd. W artykułach, rozprawach również. Praktyka tak weszła w krew, że już nikogo nie razi, i nawet niniejsze rekryminacje wydają się dziwaczne. Mimo to powstała nie na innej zasadzie, niż ta: dziesięciu powiedziało, jedenasty nie może być gorszy. 3 M.

Zresztą. Czy ten i ów z przytoczonych zwrotów nie wykaże się celnością, a nawet oryginalnością? Czy wszystkie zasługują na prohibicję? Uchowaj Bóg i strzeż od grzechu przeciw życiu języka. Ale co innego przyjąć dany trop, a co innego posłużyć się nim jak prefabrykatem. Co innego uznać jego przydatość, a co innego mechanicznym powtarzaniem prototyp utłuc na stereotyp. Kiedy „kierunkowa realizacja problemu stymuluje kwestię zaplecza", język nie żyje. Kiedy „semiotyczny rozrzut wyznacza pole lirycznych napięć", język nie żyje. Moda, mania, maniera współdziałają w dziele zmierzającym do tego, by powstało zjawisko osobliwe z osobliwych: współczesny język martwy.

KTO JEST KIM W REGIONIE

BIERNACKI Marian. Lat 60. Żonaty, Żona Barbara. Syn Marek. Absolwent Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej w Lublinie. Asystent w Zakładzie Mikrobiologii AM (lata 1952—57). Doktor nauk medycznych. Od 1963 dyrektor Wytwórni Surowic i Szczepionek w Lublinie.

Jako lekarz za najważniejsze uważa: uczciwą pracę, zaspokajanie potrzeb ludzi, robienie wszystkiego, by pomóc im w cierpieniu. Tak właśnie rozumie swoje życiowe posłannictwo.

GRUDZIEŃ Maria. Lat 65. W 1952 ukończyła Wydział Lekarski AM w Lublinie. W 1964 roku obroniła doktorat, w 1974 habilitowała się, a w 1987 uzyskała stopień profesora nadzwyczajnego. Od 1974 roku — kierownik Kliniki Położnictwa w Instytucie Położnictwa i Chorób Kobiecych Akademii Medycznej w Lublinie.

Uważa, że człowiek powinien żyć godnie i w miarę swoich sił nieść pomoc ludziom.

NIEDZIELA Zdzisław. Lat 59. Żonaty. Żona Mirosława. Troje dzieci: Iwona, Ewa, Krzysztof. Absolwent Studium Trenerskiego przy WSWF we Wrocławiu. Trener koszykarskiej drużyny Start Lublin. Całe życie związany ze sportem (początkowo z WKS Lublinianka). Trzykrotnie Start pod jego wodzą zajmował trzecie miejsce w I lidze. Drużyny juniorów i młodzieżowe sięgały po tytuł mistrza Polski.

Za sposób na życie uważa pracowitość, aktywność, nie poddawanie się stagnacji. Odpoczynku po stresach swego zawodu szuka w pracy na działce i w kultywowaniu hobby (numizmatyka).

WACHOWIAK Ignacy. lat 53. Córka Agata. Kierownik artystyczny i choreograf Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej. Wraz z zespołem z którym związał się od jego powstania w 1948 r. brał udział w licznych festiwalach i wojażach zagranicznych na czterech kontynentach. Laureat wielu nagród (m.in. prezesa Rady Ministrów).

Opowiada się w życiu za optymizmem, wytrwałością, świadomym dążeniem do wytkniętego celu bez oglądania się na boki.

W numerze 22. opublikujemy:

✦ JEDEN Z KATYNIA: GEN. SMORAWIŃSKI ✦ GŁOS W SPRAWIE PRZERYWANIA CIĄŻY ✦ MATURZYŚCI O MIŁOŚCI ✦ JAK POLAK Z HOLENDREM ✦ SOŁŻENICYN — CD. ✦ ŚLADEM „STU Z LUBLINA" ✦ „CHORE DUSZE Z POGRANICZA" ✦ STUDENCKI STRAJK ✦ KOREPETYCJE